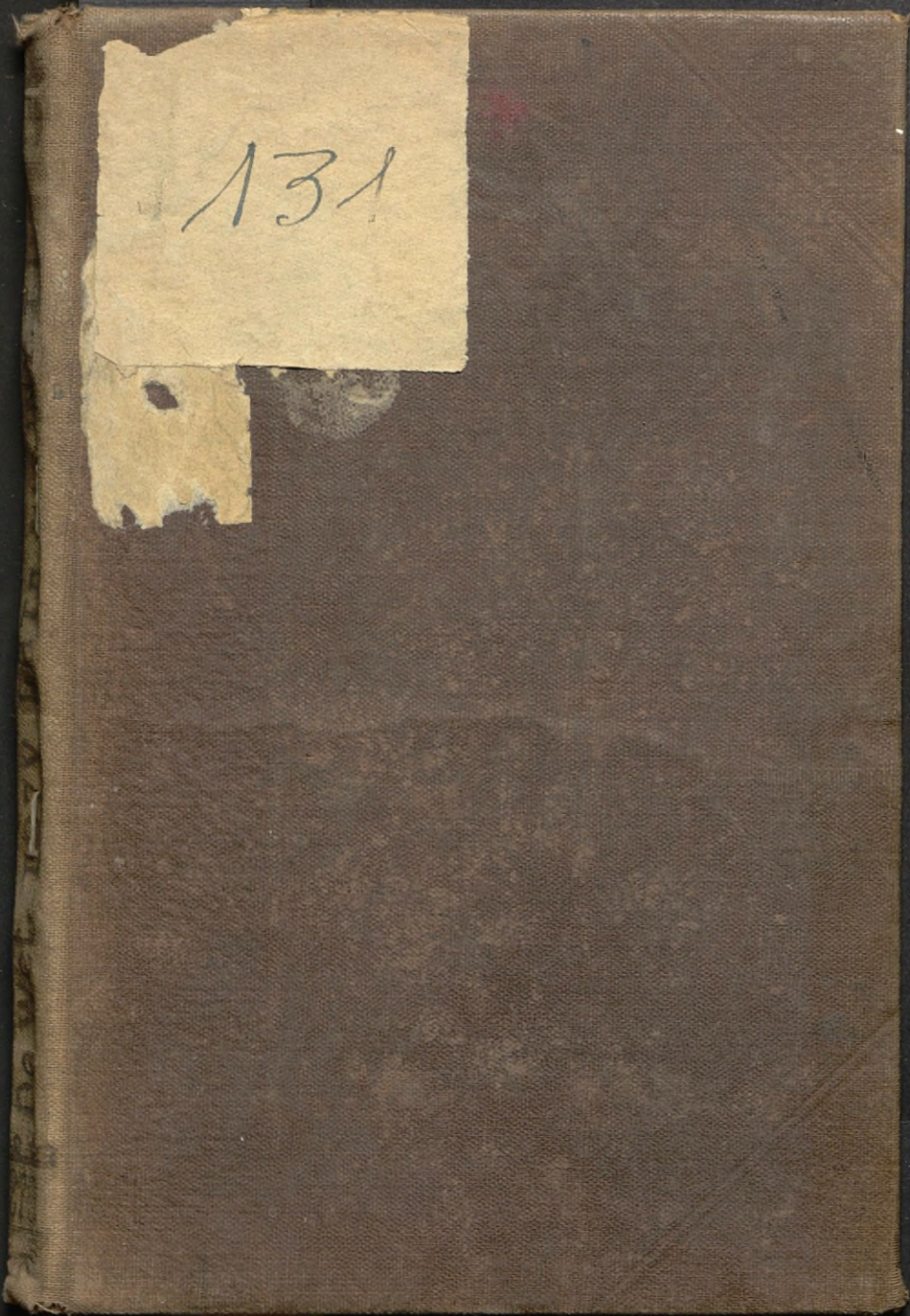


Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black



A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

131

Chopina

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie . (13 tomów) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski

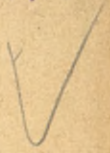


Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47.

Jenerał DE WET.

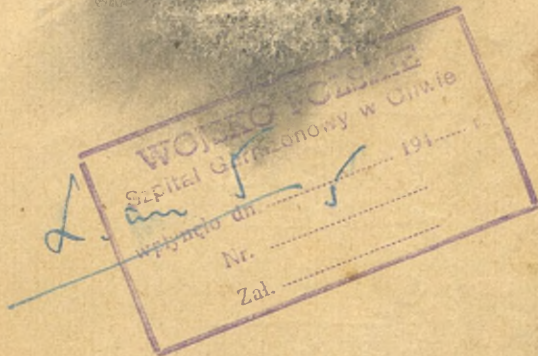
~~W^o 297~~



TRZY LATA WOJNY

XXXIII. 8. 2 / 355. 43 (420:68) 1899/1902

O NIEPODLEGŁOŚĆ.



WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZERSKIEGO

47. Nowy-Swiat 47.

87

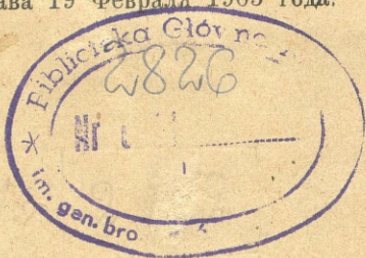
68

~~28.1.22~~
~~40-9-2~~

1-10

10 21 24 27

Дозволено Цензурсю.
Варшава 19 Февраля 1903 года.



10
13



ROZDZIAŁ XXI.

Kłęski pod Frederickstadem i pod Bothaville.

Dowiedziałem się wtedy, że oddziały generała Hattingha (z Harrismithu i z Vrede) stoją pod Spitskopie, o 7 mil na południo-wschód od Heilbronu, i skierowałem się w tamte strony. Otrzymały one już chrzest ognioy i nie poddały się z generałem Prinslov.

Jakaż to była dla nas radość powitać burgerów z Harrismithu! Z jakim zadowoleniem wspominaliśmy dni spędzone razem! Poraz ostatni widzieliśmy się w grudniu 1899 roku, podczas oblężenia Lady-smithu. Oni i ludzie z Heilbronu sąsiadowali z nami w szańcach.

Ale przykro dotknął mnie widok znacznej liczby wózków, wleczonych przez oddziały z Harrismithu i Vrede. Wiedziałem już z doświadczenia, ile kosztują te krępujące bagaże, i pamiętałem dobrze ów dzień, gdy dla ratowania wózków zmuszony byłem uciekać z moim oddziałem ze Slabbertsneku aż do Waterberga, pędząc 280 mil bez odpoczynku.

Postanowiłem, jako naczelny wódz, skłonić burgerów do wypełnienia rozkazu, wydanego przez rząd w Kroonstadzie. Nie chciałem słuchać o wozach i wózkach.

Nie wyobrażałem sobie, zabierając się do tej reformy, jak trudno mi będzie przekonać oddziały z Harrismithu i z Vrede o konieczności rozstania się z tym bezużytecznym taborem. Na kilka dni przedtem Anglicy oddali mi przysługę, zabierając w Winburgu i Vetrivier znaczną część wózków komendanta Hasebroeka.

Zwołałem burgerów.

Zacząłem od podziękowania oficerom i szeregowcom za to, że się nie poddali z generałem Prinslov pod Nauwportem i winszowałem im świetnego zachowania się w bitwach staczanych wokoło Heilbronu, przypominając szczególnie potyczkę pod Ladybrandem, gdzie udało się im wyrzucić Anglików z zajmowanych pozycji i wepchnąć w góry. Potem dotknąłem najdrażliwszego punktu. Nie żądałem od nich porzucenia wózków — tylko poprostu odesłania ich. Moi słuchacze rozumieli dobrze, że jedno i drugie równało się utracie bagażów na korzyść nieprzyjaciela; słuchali, jakby nie rozumiejąc. Mnie zaś bardzo szło o przeprowadzenie tego postanowienia, zakończyłem więc przemowę temi słowy:

— Burgerzy! nie mogę w tym razie uwzględnić waszych życzeń; powiedziałem już, że ta ofiara jest konieczna i że musicie pozbyć się wszystkiego, co was obciąża i krępuje wasze ruchy!

Nazajutrz zgromadziłem wszystkich oficerów i grzecznie, lecz stanowczo wydałem im rozkaz odesłania tego samego dnia wszystkich wózków. Następnie poleciłem, ażeby ludzie z Harrismithu i Kroonstadu, pod dowództwem generała Bothy, poszli niszczyć wszystkie środki komunikacji Anglików pomiędzy Kroonstadem a rzeką Zand.

Dnia 24-go września pojechałem razem ze sztabem do burgerów z Heilbronu, powracających w znacznej liczbie z urlopów, które im dałem.

Doniesiono nam o obecności nieprzyjaciela w tych stronach, i trzeba było gotować się do wal-

ki, albo do odwrotu, gdyby siły przeciwnika były przeważające. Rozporządzałem dość znacznym oddziałem, złożonym z ludzi z Heilbronu, Harrismithu i Vrede.

25-go września wysłałem patrol w kierunku Kroonstadu dla odepchnięcia wysuniętych posterunków nieprzyjaciela, stojącego w tej chwili o sześć mil od tej wsi.

Posłałem wtedy po generała Hattingha i jego burgerów. Ale cóż mi doniesiono! Że nie mogli się zdecydować na porzucenie wózków, i że większa część rozeszła się do domów! A jednakże przy każdym wózku był jeden Kafr i jeden woźnica—personel zupełnie dostateczny do przeprowadzenia taboru, przeznaczony na to przezemnie.

Byłem wściekły!

Takie niepowodzenia mogły zniechęcić najmężniejsze serce, gdyby w tych smutnych warunkach nadprzyrodzona potęga nie dodawała nam siły.

Tak więc miałem naokoło siebie Anglików — a przy sobie nikogo.

Burgerowie z Kroonstadu i z Betleemu porzucali się w rozmaite strony, burgerowie z Winburga, z Vrede i z Harrismithu opuścili mnie także. Pozostała mi tylko część ludzi z tych okręgów i ludzie z Heilbronu.

W tych warunkach siły otaczające nas ze wszystkich stron były za wielkie, ażeby można było myśleć o zwycięstwie. Trzeba się było cofać do Schoemansdriftu, a jeżeli okaże się potrzeba, to i dalej jeszcze ku Boathaville, przedzierając się przez tamtejsze piaski, które dla Anglików będą stanowily nieprzebytą zaporę.

Ruszyliśmy więc w stronę dworca w Wolvehock.

Zamiarem moim było przedostać się przez plant kolei następnej nocy, pomiędzy Vrededfortweg i Wolvehock. Pozrywałem relsy w kilku miejscach.

Wziąłem z sobą do tej roboty patrol z trzynastu ludzi, podczas gdy wszyscy spali w namiotach.

30-go września byliśmy zaledwie o trzy mile od kolei, kiedy nadjeżdżający pociąg opancerzony dał do nas kilka strzałów armatnich. Pociąg wioził jednego Armstronga i jednego Maxim-Nordenfeldta. Strzały nie wyrządziły nam zresztą żadnej szkody. Byłbym chętnie odpowiedział na nie, ale moja artylerya poszła już naprzód, a konie były zanadto zmęczone, ażebym mógł myśleć o jej zawracaniu. Trafiała mi się sposobność zużytkowania moich dział przeciwko dwustu jeźdźcom, których spotkaliśmy w kilka dni później. Jeźdźcy widząc, że jesteśmy w pogotowiu, zawrócili w inną stronę.

Tego samego dnia posunęliśmy się na południe od wsi Paryż, a nazajutrz osiągnęliśmy wzgórz, położonych na zachód od Vredefortu. Staliśmy tam od dwóch dni, kiedy nieprzyjaciel zaczął koncentrować swoje siły naokoło Heilbronu.

Rozdzieliłem wtedy mój oddział na dwie części: jedna została przy mnie, druga, złożona z burgerów, którzy nie poszli za swemi wózkami, odeszła pod dowództwem Filipa Bothy-ku Kroonstadowi, ażeby się połączyć z ludźmi z tamtej okolicy, którzy pilnowali kolei żelaznej trochę na zachód. Botha wybrał sobie za oficera veldkorneta P. de Vosa, na miejsce komendanta Franza van Aarda. Był to dobry wybór, bo de Vos był nietylko odważnym oficerem, ale i człowiekiem pewnym i rozważnym.

Nieprzyjaciel przez kilka dni nie wychodził z obozu, który rozłożył koło farmy Klipstapel, na południo-wschód od Vredefortu. Nakoniec rozpoczął atak...

Przez cały dzień wytrwaliśmy, opierając się jego szturmom. Ale w końcu musieliśmy uleść przeważającej sile i cofnąć się za rzekę Vaal.

Anglicy, sądząc zapewne, że idziemy znów ku

Waterbergowi, nie ścigali nas. Działo się to 7-go października 1900 r.

W kilka dni później otrzymałem raport od generała Liebenberga, oznajmiający mi, że generał Barton ze swoim oddziałem znajduje się w pobliżu dworca we Frederickstadzie. Liebenberg żądał posiłków, ażeby uderzyć na nieprzyjaciela. Postanowiłem natychmiast udać się tam osobiście; posłałem bezzwłocznie generałowi poufną wiadomość, objaśniając go o mojem postanowieniu i zapowiadając, że wkrótce przybędę.

Chcąc zwieść Anglików, udałem, że się cofam; minąłem z moimi ludźmi Schoemansdrift i doszedłem do farmy Baltespoort, nad brzegiem rzeki Rhenoster, o piętnaście mil od brodu. Następnej nocy zawróciliśmy tą samą drogą i przeszliśmy rzekę na zachód od Schoemansdriftu. Moi ludzie, wsiadając napowrót na koń, nie mogli się powstrzymać i pytali jedni drugich:

— Dokąd my znów idziemy?

Dokąd szliśmy! Na dworzec we Frederickstadzie, ażeby uderzyć na Anglików generała Bartona. Kazałem przedtem zbadać starannie grunt. Generał Liebenberg poprzerywał zupełnie komunikacje naszych przeciwników, i nie mogli już porozumiewać się z nikim, chyba za pomocą heliografu. Jednakoż przybywszy na miejsce, zadałem sobie pytanie, czemu oszańcowali się tak dobrze od strony dworca i od strony wzgórków na północy i południo-wschodzie, czyby się czegoś domyślali?

Pomimo tych ostrożności, Barton był osaczony; przez pięć dni następnych podsuwaliśmy się coraz bliżej, coraz ciasniejszym kołem. Szóstego dnia wyprawilem Liebenberga, ażeby zajął nowe stanowiska na północy-zachód od najsilniejszej pozycji Anglików. Wyruszył z dwustu ludźmi, pomiędzy którymi było osiemdziesięciu burgerów z Vrede, pod rozkazami generała Fronemana. Stanowisko było łatwe do zaję-

cia, ale trudne do utrzymania na wypadek ataku Anglików; dlatego posłałem tam dwustu ludzi, zdolnych oprzeć się natarciu nieprzyjaciela.

Takie wydałem rozkazy, a co zrobiono!

Tylko osiemdziesięciu ludzi, zamiast dwustu, poszło na wskazane miejsce. Tymczasem nieprzyjaciel otrzymał posiłki z Krügersdorpu. Nie wiedziałem wcale o tem niepomyślnem zdarzeniu i dowiedziałem się o przybyciu Anglików dopiero wtedy, gdy nam spadli na kark. Zaczęli atakować nieszczęśliwy oddziałek. Gdyby nasi burgerzy mieli dosyć amunicyi, byłiby się mogli bronić. Ale skutkiem gwałtownego strzelania, amunicya wyczerpała się wkrótce. Nasi zmuszeni byli cofać się pod nieustającym ogniem czterech dział, które im dużo złego narobiły, pomimo, że osłaniał ich trochę plant kolei. Moi burgerzy musieli uciekać pieszo, bo konie zostały za nimi...

Gdyby — stosownie do mego rozkazu — pozycja ta była broniona przez dwustu ludzi, Anglicy nie zdołaliby nigdy spędzić ich z tamtąd, a generał Barton byłby niezawodnie dostał się do niewoli. Ale zamiast zwycięstwa, na które liczyłem, znaczna liczba naszych została wzięta do niewoli, a kilku zabitych. Pomędzy poległymi był nieoceniony kapitan Sarel Cilliers, wnuk znanego podróżnika, a pomędzy jeńcami veldkornet Jurie Wessels.

Jak zwykle, nieszczęsne to opuszczenie stanowiska miało smutne następstwa.

Jenerał Froneman musiał odwołać swoich ludzi, zobaczywszy, że Liebenberg nie posłał swoich. Dowiedziałem się potem, że kapitan Cilliers nie chciał zejść z posterunku.

Przykro to było dla nas przegrać bitwę w chwili, gdy była prawie wygrana, i uciekać, kiedy spodziewaliśmy się zwycięstwa. Ale tyle już razy widziałem, jak nasi nie umieli korzystać ze sposobności, że umiałem się już nauczyć rezygnacyi.

Cofnęliśmy się wtedy w stronę Vanvurenskloofu. Przybywszy tam nazajutrz wieczorem, dowiedzieliśmy się, że silna kolumna angielska weszła do Potchefstroomu, druga stała w Tijgersfonteinie, a trzecia w Schoemansdrift.

Następnego dnia moje wojska przeszły przez rzekę Vaal w Witbanksfontein, gdzie zatrzymaliśmy się dla wypoczynku.

Kazałem się pilnować eklererom, ale nie tym Jana Thérona ¹⁾, tylko zwyczajnym burgerom, wybranym przez swoich dowódców. Jedliśmy właśnie śniadanie, kiedy nadbiegło kilku eklererów, wołając:

— Nieprzyjaciel idzie!

Rozkazałem natychmiast siadać na koń. Ale niestety! po to, ażeby się znów cofać, bo Anglicy obsadzili już wzgórza na północ od rzeki Vaal, a my dla osłony w otwartym polu mieliśmy tylko ściany kraalu.

Gorąco nam było owego dnia pod palącym słońcem i pod ogniem nieprzyjaciela, i postradaliśmy nawet jedno działo; spadło z niego koło i musieliśmy zostawić je na drodze. Wkrótce potem granat angielski padł na wózek, w którym były cztery skrzynki dynamitu—wszystko wyleciało w powietrze. Szczęściem, na chwilę przed tem wyprężnięto od wózka woły i zostawiono go w polu; gdyby nie ten szczęśliwy zbieg okoliczności, byłaby nastąpiła straszliwa katastrofa.

Nie ponieśliśmy żadnych strat, oprócz dwóch burgerów, którzy sądząc, że są bezpieczni w jakiejś fermie, zabarykadowali się w niej. Dwie kolumny angielskie, idące z Schoemansdriftu, zabrały ich i uprowadziły z sobą.

¹⁾ Eklererzy Jana Théron zostali zamienieni na oddział wojska. Zajmowali się jeszcze śledzeniem nieprzyjaciela, ale już nie oddawali się temu wyłącznie.

Maszerowaliśmy dalej ku wschodowi. Ale z nadejściem nocy zmieniliśmy nagle kierunek, zawracając ku Bothaville. Nazajutrz wieczorem byliśmy już w Bronkharstfonteinie, w pobliżu Witkopies. Ztamąd skierowaliśmy się następnego dnia trochę na zachód od Rheboksfonteinu, ażeby przepędzić noc w Winkeldrift, nad brzegiem rzeki Rhenoster.

Tam dowiedziałem się, że prezydent Stejn ze swoim sztabem zdążył ku nam, po naradzie, jaką miał w Machadodorp z rządem transwaalskim. Prezydent polecił mi naradzić się z generałem de la Rey, który za nim jechał. Wyprawiłem zatem mój oddział w drogę do Bothaville, a sam ze sztabem pojechałem do prezydenta Stejna.

Spotkaliśmy się 31 października blisko Ventersdorp.

Pan Stejn powiedział mi, że tego samego dnia, gdy widział się w Machadodorp z prezydentem Krügerem, był on na wyjeździe do Lourenço-Marquez, z kąd miał odpłynąć do Holandji na statku wojennym „Gelderland”, oddanym do jego rozporządzenia przez królową Wilhelminę.

Był to już jeden z ostatnich dni zachowywania neutralności przez Portugalię — stary prezydent odpłynął w samą porę.

Jenerał de la Rey nie mógł do nas dojechać, a my pojechaliśmy z prezydentem Stejnem 2 listopada do Bothaville.

Ponieważ dowiedziałem się od jenerała Fourie, od sędziego Hertzoga i od kapitana Scheepersa, że burgerowie z tego okręgu zebrali się znowu, zdawało mi się, że to odpowiednia chwila na zrobienie wyprawy do Kolonii Przylądkowej.

Prezydent postanowił jechać z nami. Zamiarem naszym, gdy ruszyliśmy w pochód, było przekroczyć linię kolejową w pobliżu Winburga. 5-go listopada bardzo rano byliśmy już w Bothaville,

gdzie przyłączył się do nas generał Froneman ze swemi oddziałami.

Ktoby mógł przewidzieć w tej chwili, że tuż, pod tą wsią, czeka nas ogromna klęska?

Po południu tego samego dnia ukazała się idąca za nami silna kolumna angielska. Pośpieszaliśmy, ażeby jak najprędzej przebyć wawóz i przystanęliśmy dla wypoczynku, zupełnie bezpieczni jak się zdawało, dopóki Anglicy są od nas o siedem mil, oddzieleni rzeką Vaal.

Postawiłem wysunięty daleko posterunek nad samym brzegiem rzeki, z rozkazem pozostania tam do następnego rana. Ludzie z posterunku powrócili rano, donosząc, że nie widzieli nic podejrzanego. Ale zaledwie odszedł kaprał po złożeniu tego raportu, usłyszałem strzały. Myślałem zrazu, że zabijają bydło, ale strzały były coraz gęstsze, i cożeśiny nagle ujrzeli? Anglików — o dwieście kroków od nas — w tem samym miejscu, przez które przed chwilą przechodzili moi ludzie.

Godzina była wczesna, słońce weszło zaledwie dwadzieścia minut temu. Bardzo wielu burgerów spało jeszcze w namiotach. Nastąpił straszny popłoch — taki, jaki niewiele razy zdarzył się w czasie tej wojny.

Musiałem sam sobie osiodłać konia. Ludzie moi, zajęci sobą, nie myśleli o stawianiu oporu, a ci, którzy zdążyli posiadłać swoje konie, uciekli cwałem. Wielu nawet, nie troszcząc się o siodła, popędziło na oklep.

— Nie uciekajcie! Dalej na wroga! — wołałem, siadając na konia.

Usiłowałem ściągnąć i powstrzymać mój oddział, ale daremnie! Kiedy im zastąpiłem drogę z jednej strony — uciekali w drugą. Popłoch był nieposkromiony i minał dopiero wtedy, gdy już nieprzyjacieli nie mógł ich dosięgnąć.

Szturmem Anglików dowodził generał Le Gal-

lais. Był to niezawodnie jeden z najmężniejszych oficerów, z jakimi walczyłem przez czas wojny, ale trzeba dodać, że w tym wypadku nie spotkał energicznego oporu. Tylko prokurator jeneralny, Jakób de Villiers, i veldkornet, Jan Viljoen z kilku burgerami utrzymali się na swych stanowiskach.

Nieprzyjaciel zabrał nam artylerję; mieliśmy dziewięciu poległych, dwudziestu pięciu, czy trzydziestu rannych, a setka naszych dostała się do niewoli. Oplakiwaliśmy śmierć veldkornetów: Jana Viljoena z Heilbronu i Van Zyla z Kolonii Przyładkowej! Pomiedzy rannymi byli: prokurator jeneralny, Jakób de Villiers i Jan Réchter.

Kilku rannych zdołało uciec; jenerał Frone-man lekko raniony w piersi, Jan Brain ranny w udo, jeden z oficerów mojego sztabu, który otrzymał ranę ciężką, ale nie śmiertelną; oprócz tego kilku, których nazwiska uleciały mi z pamięci. Według raportów angielskich, pomiedzy poległymi był doktor de Landsheer, Belgijczyk. Angielskie dzienniki dowodziły później, że na zwłokach doktora była ładownica. Mogę zapewnić, że lekarz ten nie nosił strzelby ani nabojów; nie mogę przypuścić, ażeby się miał uzbroić w czasie bitwy.

Postradaliśmy — jak mówiłem — sześć dużych dział; ale ponieważ amunicya do tych dział była prawie wyczerpana, strata nie była tak bardzo dotkliwa.

Pomimo oplakanego wyniku bitwy, utrzymuje stanowczo, że gdyby burgerzy stawili energiczny opór, bylibyśmy mogli, co najmniej, odeprzeć nieprzyjaciela i nie byłoby doszło do takiej klęski. Mieliśmy 800 ludzi, a nieprzyjaciel miał ich tylko 1.000 — 1.200. Ale co do naszych porażek, trzeba zawsze robić tę samą uwagę. Nieprzyzwyczajeni do karności burgerzy, bili się odważnie, gdy chcieli, ale gdy raz ogarnęła ich panika, niczem nie można ich było powstrzymać.

Powinni jednak byli wiedzieć, że jestem zwykle najbliżej, gdy oni sądzą, że daleko—gotów do ataku, kiedy udają odwrot. To samo przecież zdarzyło się, gdy otrzymali wiadomość, że przeszedłem przez Sprinkhaansnek.

I rzeczywiście 20 listopada wieczorem zawróciłem, zbliżając się do Dewetsdorpu i do stanowisk, które tam poobsadzał nieprzyjaciel. Nie potrzebowałem ich badać, bo i wieś i okolica były mi zanadto dobrze znane!

Dewetsdorp, wieś, w której spędziłem młodzieńcze lata, i którą parlament nazwał nazwiskiem mego ojca! Dewetsdorp, moje miejsce rodzinne... Czy podobna, ażebym był zmuszony skradać się tam w nocy, jak włóczęga, kiedy przy świetle księżycy mogłem widzieć wyraźnie posiadłość Nieuwjaarsfontein, którą kupiłem od ojca i która była moją własnością! Nie chciałem znosić takiego upokorzenia i iść w odwiedzinę do krewnych, przyjaciół i własnego domu, narażając się na wzięcie do niewoli. Wolny—a skoro nie można było inaczej—to z karabinem i działami pragnąłem wejść do siebie. Nie traciłem czasu, ażeby wykonać ten zamiar.

O wschodzie słońca, 21 listopada, zajęliśmy trzy pozycje naokoło wsi. Pierwszą wzięliśmy bez wystrzału w taki sposób:

Posłałem generała Bothę, dawszy mu za przewodników Jana i Arnolda du Plessis z Boesmansbanku, gdzie stał na płaskowzgórzu, wznoszącym się na południo-wschód od wsi. Płaskowzgórze to było doskonale umocnione baterjami, które na wypadek ataku miały osłaniać załogę i panować nad całą okolicą¹⁾. Robota²⁾ zapowiadała się trudna

¹⁾ Baterje te, zdobyte przez nas, byłyby nam bardzo pożyteczne, gdybyśmy posiadali amunicję.

dla Bothy. Przebył on płaskowzgórze z wielką ostrożnością, kryjąc się. O dwa kroki od baterji nie słyhać było najmniejszego szmeru. Botha dziwi się. Czy wejść do środka, narażając się na spotkanie z siłami dziewięć razy silniejszymi, czy czekać? Słuchając tylko głosu odwagi — wchodzi. Ale nie znajduje sposobności do okazania swego męstwa. Zastaje tam na straży trzech ludzi, którzy chrapią, śpiąc jak zabici. Dwóch uciekło pozostawwszy ubrania—trzeci poległ.

Robota zaczęła się dobrze. Ja zająłem na północ od wsi wzgórze, z którego mogłem rozpocząć skuteczny ogień działowy na 1,600 kroków; komendant Lategan poszedł na zachód od Dewetsdorpu, na pagórek, gdzie była farma Glen Gharry. Właścicielem jej był ojciec moich dwóch męźnych adjutantów, R. W. i Jana Rechterów. Zobaczywszy nas, musiał bardzo się zadziwić, że postanowiliśmy przypuścić szturm do Dewetsdorpu.

Było nas wszystkiego 900 ludzi. Ale musiałem oddzielić jeszcze dość silny patrol i posłać go do Roodekopu, odległego o 18 mil w stronę Bloemfonteinu, ażeby mnie ostrzegł w porę w razie zbliżania się posiłków angielskich. Musiałem też wyprawić posterunki w stronę Thaba'Nchu, Wepeneru i Reddersburga, a jeden patrol dla opieki nad taborem prezydenta, którego wyprawiłem na farmę Prospekt. Obliczywszy to wszystko, pozostało mi zaledwie 450 ludzi.

Nieprzyjaciel oszańcował się powyżej wsi i osady kafrów, na linii, idącej od południo-wschodu do południo-zachodu i zwracającej się ku północy. Zbudował on naprędce—mimo to—silne szańce z kamieni i skał, poza któremi chronił się w przekopach. Dowodził Anglikami major Massey, który miał do rozporządzenia silne oddziały z Gloucestershire z „Highland Light Infantry” (górskiej lekkiej piechoty)

i z „Irish Rifles” (strzelców irlandzkich), wszystkiego pięciuset ludzi.

Około 10-ej rano d. 21 listopada wydałem rozkaz do ataku ze wszystkich trzech naszych pozycji. Było to dla mnie pokrzepieniem i radością, gdym ujrzał, jak odważnie walczyli burgerowie w tej bitwie. Nie lękając się kul angielskich, posuwali się, przeskakując aż do samych szańców angielskich i gnębili je celnie rzucanemi kulami. Do wieczora tego dnia podeszliśmy bardzo blisko do Anglików, stojących od południowo-wschodniej strony i od północy, i zdołaliśmy utrzymać nasze stanowisko przez całą noc. Kazaliśmy nawet zanieść tam żywność.

Nazajutrz szturm rozpoczął się nanowo i trwał do popołudnia. Burgerom z Harrismithu przypadł w udziale zaszczyt zdobycia pierwszych pozycji angielskich. Byli zaledwie o sto kroków od blokhauzów, zbudowanych przez nieprzyjaciela, gdy z mojej pozycji zobaczyłem jakiegoś człowieka, pełzającego po ziemi. Podniósł się nagle i zawołał:

— Poddajcie się, albo zginiecie! Burgerzy idą za mną!

Anglicy poddali się.

Bohaterem tym, który narażał tak życie, był veldkornet W. Wessels, mianowany później na miejsce Trutera, a w końcu pomocnikiem naczelnego wodza. Zajął on szaniec z dwudziestoma pięcioma ludźmi i zdołał się w nim utrzymać, pomimo bardzo gwałtownego ognia, skierowanego nań z sąsiednich szańców. Ale stopniowo ustała strzelanina naokoło W. Wesselsa. Anglicy uciekli, czego nawet nie spostrzegłem. Jenerał Filip Botha poszedł wtedy z dwoma synami, Ludwikiem i Karolem, do veldkorneta Wesselsa.

W tej chwili zaszło słońce. Na południe od wsi wzniosła się kolumna dymu. Mówiono wokoło mnie, że Anglicy palą magazyn. Ale ja zobaczyłem

z przykrością, że to płonie młyn pana Wessela Badenhorsta.

Stojąc na tej pozycyi, otoczony działami i zbrojnymi baterjami, jakże daleki byłem od spokojnych czasów dzieciństwa!

Na północy, gdzie był komendant de Vos, Anglicy trzymali się jeszcze, mocno oszańcowani. Atakować ich przed końcem dnia byłoby niebezpiecznie, bo do tego trzebaby iść sto metrów po równinie, pod ogniem nieprzyjaciela. Dałem rozkaz komendantowi, ażeby robił, co może, byle zaskoczył nieprzyjaciela nazajutrz przed świtem.

Udało mu się to zupełnie. Podsunał się ukradkiem do oszańcowań i Anglicy spostrzegli go dopiero, kiedy był tuż. Rozpoczęli ogień gwałtowny i dwóch burgerów zostało zabitych; pomimo to przypuścili szturm i nieprzyjaciel musiał się poddać. Postradał sześciu ludzi, a trzydziestu wzięliśmy do niewoli.

Przez ten czas Wessels, według mojego rozkazu, zajął wieś opuszczoną przez Anglików. Nie byłem obecny przy tych dwóch atakach, bo wyjechałem poprzedniego wieczora do *laageru* prezydenta dla naradzenia się z nim. Ale byłem spokojny. Wiedziałem, że to, co najważniejsze, już zrobione, a de Vos i Wessels dokończą prędko roboty. Powróciwszy, nie doznałem zawodu. Dewetsdorp był w naszych rękach, Anglikom pozostało tylko kilka oszańcowań, oddalonych od siebie o sto kroków.

Dewetsdorp, moje miejsce rodzinne! Krewni, przyjaciele, wszyscy mieszkańcy, którzy mnie znali małym dzieckiem, zobaczyli mnie teraz starym, brodatym, uczernionym od prochu. Co za chwila dla nich i dla mnie! Pomimo całego smutku wojny, byłem bardzo szczęśliwy, że mogę wyzwolić od jarzma nieprzyjacielskiego moje miejsce rodzinne. Poszedłem coprędzej odwiedzić przyjaciół kochanych, nauczyciela Otto, Jakóba Roosa i starego M. H. van

der Schijfa, którzy gościnnie poczęstowali mnie kawą. Potem wróciłem do oddziału, ażeby zdobyć ostatnie szańce angielskie. Niektóre trzymały się jeszcze mocno i mogłyby opierać się dłużej, ale po południu poddały się wszystkie; na całej długości linii nieprzyjacielskiej powiewały białe chorągwie. Moje gniazdo rodzinne było wolne!

Wzięliśmy czterystu ośmiu jeńców, pomiędzy nimi majora Massey i siedmiu oficerów. Wzięliśmy też pięćdziesięciu Kafrów. Anglicy pogrzebali już znaczną liczbę swych poległych, a liczba tych, którzy jeszcze nie zostali pogrzebani i liczba ranionych pozostała dla nas niewiadoma. Obliczałem ich straty na siedemdziesięciu do stu ludzi zabitych i ranionych. Prócz tego zdobyliśmy dwa działa Armstronga, przeszło trzysta naboju, kilka wózków, konie, muły i spory zapas amunicji do Lee-Metfordów.

Nasze straty były też dość znaczne: siedmiu poległych i czternastu ranionych, przeważnie lekko.

Kiedy wszystko się skończyło, było już po zachodzie słońca. Późnym wieczorem dostaliśmy się do naszego obozu. Dowiedziałem się tam, że silny oddział wyszedł z Reddersburga, ażeby uwolnić majora Massey, ale przybędzie zapóźno. Major z całym swym oddziałem rozbrojony był już między nami.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyprawilem się na obejrzenie tego oddziału, ażeby wiedzieć, co się da zrobić. Zajęliśmy stanowiska na zachód od Dewetsdorpu i wymieniliśmy kilka strzałów. Utrzymaliśmy się na tych stanowiskach przez cały dzień.

Spostrzegłem jednak nazajutrz, że oddział angielski, i tak już mocniejszy od mojego, oczekuje posiłków. Nie zabierał się wcale do ataku. A że moim zamiarem było przedewszystkiem wtargnąć do kraju Przylądkowego, postanowiłem opuścić cicho moje pozycje i ruszyć w drogę. Zostawiłem na

miejscu mały oddziałek burgerów dla zmylenia nieprzyjaciela i przeszkodzenia jego pogoni natychmiastowej.

ROZDZIAŁ XXIII.

Niepowodzenie mego zamiaru wejścia do kraju Przylądkowego.

Przez pół dnia Anglicy pozwolili nam iść spokojnie. Opuściliśmy farmę Glatkop i przyszliśmy w połowie nocy do Vaalbank. Zabrałem z sobą jeńców, bo miałem zamiar wypuścić ich na wolność dopiero na drugim brzegu rzeki Pomarańczowej.

Ale zaraz nazajutrz nieprzyjaciel spadł na nas, kiedyśmy się go najmniej spodziewali. Zeszedł nas w następujących okolicznościach.

W Dewetsdorpie dogonił mnie kapitan Pretorius, którego przed dwoma miesiącami wyprawilem z okolic Heilbronu w okolice Fauresmithu i Philippolis, po zebranie kilkuset koni. Zawiadomił mnie, że konie są w pobliżu, w Droogfontein, pod strażą dwustu ludzi. Dałem mu rozkaz, ażeby je przyprowadził.

Tego więc ranka nasze pikiety dały znać około 8-ej, że od Beijersberga jedzie gromada jeźdźców, kierując się w stronę Reddersburga. Byłem pewny, że to kapitan Pretorius z końmi, o których mi mówił.

Uspokoilem moich ludzi, mówiąc:

— To musi być kapitan Pretorius.

Burger, który mi przyniósł tę wiadomość, nie zdążył jeszcze powrócić do towarzyszków, gdy nadbiegł drugi, wołając:

- Na koń! na koń! Anglicy idą!
 — Nie kapitan Pretorius?—zapytałem.
 — Nie, to Anglicy!

Było to prawdą. Burgerzy więc, nie czekając nawet rozkazu, wsiadali na konie. Na całej linii naszej przedniej straży padały już strzały. Mój oddział, zaskoczony tak zniemacka, uciekał galopem i zniknął już w oddaleniu...

Nie próbowałem go zatrzymywać, bo przyszła mi pewna myśl. Ponieważ z miejsca, na którem staliśmy, nie było widać dość daleko, korzystniej dla nas było zająć silniejsze stanowiska na wyżynach, położonych o pół godziny jazdy. Ztamtąd będę mógł przynajmniej widzieć, co się dzieje w okolicy i z której strony może nas zaatakować nieprzyjaciel.

W czasie tego zaskoczenia nas przez Anglików veldkornet de Wet został ciężko raniony. Była to jedyna strata, jaką ponieśliśmy tego dnia. Ale dużo koni padło nam ze zmęczenia.

Zawróciliśmy znów na drogę ku Bethulii. Blisko tej wsi, w farmie Klein-Bloemfontein, generał Piet Fourie i kapitan Scheepers na moje wezwanie połączyli się ze mną. Wypuściłem tam na wolność Kafrow, wziętych do niewoli w Dewetsdorpie. Dowiedzieli oni, że nie brali udziału w bitwie i że wzięci byli przez Anglików tylko do powożenia wózków. Dałem im paszporty do kraju Basutów.

Posuwaliśmy się w dalszym ciągu ku Karmelowi.

Kiedy dochodziliśmy do farmy Good-Hope, nasi eklererzy zawiadomili o zbliżaniu się kolumny angielskiej, idącej z Bethulii i dążącej w stronę Smithfieldu. Kazałem uderzyć na nią z dwóch stron. Ale ustawiła się mocno i niepodobna było wyprzeć jej tego dnia z zajętych stanowisk.

Nazajutrz o brzasku bitwa zaczęła się nanowo. Około godziny 4-ej popołudniu nadszedł generał Karol Knox z dużemi posiłkami, które prowadził ze

Smithfieldu. Trzeba nam było znów ustępować. W tej rozprawie postradalem jednego z moich oficerów sztabowych, Jana Jakóba de Weta, rodzzonego mego synowca. Zawsze wesoly, zawsze mężny, poległ w chwili, gdy osłaniał nasz odwrót. Wypadek ten był dla mnie wielkiem zmartwieniem. Oprócz niego czterech burgerów w tej bitwie odniosło rany. Straty Anglików musiały być znaczne.

Kiedyśmy jeszcze walczyli, przybył do nas generał Hertzog i postanowiliśmy, ażeby wszedł jak najprędzej do kolonii Przylądkowej, pomiędzy mostami zbudowanemi dla kolei w Norvalsprut i w Hoptown. Ja z mojej strony miałem wejść pomiędzy mostami w Bethulii i w Aliwal Noord. Potem Hertzog miał działać w północno-zachodniej części kolonii, a ja w środku i na wschodzie.

Szliśmy całą noc ku Karmelowi, podczas ulewne go deszczu, który padał do rana. Mimo to szliśmy dalej i przepawili się przez rzekę Caledon. Padało tak, jak mówią boerowie, że „mogłoby pozabić dużych dyabłów, a małym zmiażdżyć nogi.”

Komendant Tonter, idący w tylnej straży, zostawił w błocie jednego Kruppa ze skrzynką amunicji. Pomimo, że nie mieliśmy już więcej nabojów do Kruppa i że to działo było dla nas tylko kłopotem, byłem z tego bardzo niezadowolony. Nie lubiłem porzucać tych wiernych pomocników, którzy tyłekroć swojemi kulami osłaniaли nasze odwroty i dopomagali nam do zwycięstwa.

Wieczorem tego dnia przybyliśmy na odległość trzech mil na północ od Odendaalstroomu, nad rzeką Pomarańczową. Cóż za rozpaczliwy widok przedstawił się naszym oczom! Wody rzeki weszły do tego stopnia, że niepodobna ich było przebyć inaczej, jak przez bród. A wszystkich brodów pilnowali Anglicy.

Położenie było krytyczne. W Aliwal-Noordzie stała załoga angielska. Nie można było myśleć

o przepłynięciu się w tym miejscu przez rzekę Pomarańczową. Rzeka Caledon musiała także być wzbrana po deszczach, a wiedziałem, że generał Knox zostawił w Smithfieldzie oddział wojska, ażeby zajął most i bronił przystępu do niego; to samo u brodu Counnisie. Bród Jemmerberg, w pobliżu Wepeneru, musiał być również strzeżony. Pozostawała nam tylko droga przez kraj Basutów, ale nie śmieliśmy przejść granicy i chociaż byliśmy w przyjaznych stosunkach z Basutami, nie należało czynić nic, co by mogło usposobić ich nieprzyjaźnie. I tak aż nadto, niestety, mieliśmy nieprzyjaciół...

Najlepszym wydało mi się takie rozstrzygnięcie trudności. Wyprawiłem komendanta Kruitzingera (później mianowanego pomocnikiem naczelnego wodza w Kolonii Przylądkowej) i kapitana Scheepersa w stronę Rouxville. Poleciałem im wejść do Kraju Przylądkowego, jak tylko opadną wody rzeki Pomarańczowej i będzie można przejść pieszo przez rzekę. Pewny byłem, że im się to powiedzie.

Wszystko musi udać się człowiekowi, który, nie będąc leniwym, nie cofa się przed trudnościami i nie daje sam powodu do niepowodzenia.

Ale choć Scheepers i Kruitzinger mieli widoki przemknienia się, nie można było przypuszczać, że Anglicy pozwolą nam, to jest członkom rządu i mnie, odpoczywać spokojnie; zanadto nas kochali, ażeby nie mieli wybrać się z niespodziewanemi odwiedzinami. Czekać aż opadną wody rzeki byłoby dla nas niebezpiecznie, a może nawet byłoby to niepodobieństwem. To jedyny powód, który mi przeszkodził wtargnąć do Kolonii Przylądkowej. Mój dzielny przyjaciel, generał Knox, nie życzył sobie tego, a tym razem, muszę przyznać, że miał w ręku wszystkie atuty. Ale i tym razem jeszcze miałem go pozbawić mojego towarzystwa.

Byłem wciąż w przykrem położeniu: przedemną rzeka Pomarańczowa wezbrana, za mną Caledon wezbrany także! A przez kraj Basutów nie mogłem przejść dla przyczyn wyżej wspomnianych. Myśleć zaś choćby chwilę o oporze na tym wązkim skrawku ziemi, gdzie staliśmy, nawprost ciągle rosnących sił nieprzyjaciela, byłoby szaleństwem.

Co czynić? Dokąd się zwrócić? Zdawało się, że ostatecznie dostałem się w pułapkę. Anglicy „wtłoczyli mnie do kąta,” jak się wyrażali żartobliwie.

W owej chwili, muszę wyznać, że sam nie widziałem dla siebie ratunku. I to samo myśleli moi nieprzyjaciele, jak czytałem później w *South African News*. Według tego dziennika, lord Kitchener miał wydać generałowi Knox rozkaz, ażeby nie brał jeńców. Trudno mi sprawdzić wiarogodność tej wiadomości. Jedno tylko wydaje się dziwnem w tej sprawie, że pan Cartwright, redaktor pisma, o którym wspomnam, został uwięziony jakoby za to ujawnienie zamiarów lorda Kitchenera.

Położenie nasze było tem smutniejsze, że dobrzy doradcy anglików *National Scouts* musieli im doradzić obsadzenie mostu dla przecięcia nam odwrotu.

Nie zwłócząc, skierowałem się ku Commissie-drift nad brzegiem rzeki Caledon. Jak przewidywałem, mostu na niej strzegli Anglicy. Oszańcowania, trudne do zdobycia, były pobudowane z obu stron.

Przekonawszy się o tem dokładnie, posłałem zaraz eklererów w górę rzeki Caledon dla zobaczenia, czy wszędzie woda jest tak duża. Może bliżej źródła mniej deszczów padało i woda nie była tak wezbrana.

Wkrótce powrócili eklererzy z wiadomością, że woda zaczyna opadać i że wieczorem można będzie się przeprawić. Jakąż to było dla nas po-

ciecha! Ale nasze konie były zupełnie wyczerpane. Od trzech dni przedzierały się bezustannie przez błotniste ścieżki i kałuże. Nie miały do jedzenia nic, oprócz trawy za młodej na posilną paszę i prawie wszystkie były podbite.

A jednak trzeba było iść naprzód. Jedna tylko droga nam pozostała: musieliśmy bezwarunkowo przebyć rzekę dla zdobycia trochę więcej przestrzeni. Najbliższy bród, jeżeli w najlepszym razie nie był strzeżony przez nieprzyjaciela, był o dziesięć do dwunastu mil w górę rzeki niedaleko od farmy Zerenfontein. Przybyliśmy tam trochę przed zachodem słońca i zastaliśmy go niestrzeżonym. Woda opadła i można było przeprowić się. Radość widniała na wszystkich twarzach. Było to 8-go grudnia 1900 r.

Posunąłem się w stronę Dewetsdorpu, mając zamiar dać trochę odpoczynku koniom i spróbować potem nanowo, czy się nie uda przejść granicy Kraju Przylądkowego pod warunkiem, naturalnie, ażeby generał Knox i jego wojsko nie przeszkadzało temu zbyt silnie. Ale Anglicy nie życzyli sobie widzieć mnie tam; obawiali się, ażeby obecność moja i prezydenta Stejna w kolonii Przylądkowej nie wzmogła licznych i bez tego trudności, jakie tam mieli. Generał Knox zgromadził zatem wszystkie siły, jakie miał pod ręką, ażeby nas odwrócić ku północy.

Nowy zawód dla mnie! Jednakowoż była i odwrotna strona tego medalu, bo gdyby nieprzyjaciel pchał mnie na północ, komendant Kruitzinger i kapitan Scheepers nie byłiby przez niego niepokojeni i mogliby się przeprowić przez rzekę Pomarańczową. Prawda jednak, że mimo to zostali raz silnie zaniepokojeni niedaleko Aliwal-Noord. Przystanęli w olicach Zastronu, ażeby dać wytchnąć koniom, kiedy zaszedł ich niespodziewanie oddział pułku *Brabant's Horse*. Sześćdziesięciu blisko naszych po-

legło, odniosło rany lub dostało się do niewoli, reszta wymknęła się i powróciła do Aliwal-Noordu. Od tej chwili nikt już nie niepokoił Scheepersa ani Kruitzingera i mogli czekać sposobnej chwili, aby wejść do Kraju Przylądkowego.

Ale, jak już wspomniałem, Anglicy zanadto mnie polubili, ażeby mieli o mnie zapomnieć. Przez dwa dni jednak mogłem się zatrzymać w Wilgeboomspruit, koło Wepeneru, nie potrzebując się od nich bronić. Połączył się tam ze mną komendant Hasebrock ze swoim oddziałem. Ten chwilowy odpoczynek bardzo nam się przydał.

Ale Knox już nas ścigał. Powziąłem wtedy zamiar ruszyć na zachód ku Edenburgowi, ażeby spóbować raz jeszcze wejść do kolonii Przylądkowej. Nietylko mieliśmy na karku wojsko angielskie, ale gdy przybyliśmy do farmy Hexrivier, dowiedziałem się przez eklererów, że przed nami, w Edenburgu, znajdował się także silny oddział nieprzyjacielski. Znowu położenie było niebezpieczne.

Gdy nadszedł wieczór, uznałem, że trzeba zawrócić na wschód w kierunku Wepeneru. Naza jutrz nieprzyjaciel trafił na nasz trop, ale że ujechaliśmy przez tę noc dwadzieścia mil, wyprzedziiliśmy go o tyle, że mogliśmy jechać dalej z mniejszym pośpiechem.

Po południu 13-go grudnia zajęliśmy znowu pozycje około farmy Rietfontein, na północo-wschód do Daspoort.

Nieprzyjaciel, zmuszony przystanąć dla połączenia się ze swoją tylną strażą, nie mógł na nas uderzyć przed zachodem słońca.

Teraz znowu musieliśmy się liczyć z całą linią blokhauzów, które Anglicy pobudowali z Bloemfonteinu do Ladybrandu przez Thaba'Nchu i Sprinshaansnek. Musieliśmy przechodzić między temi fortami, a chcąc to wykonać, potrzeba było nie mieć nikogo na karku. Było zatem koniecznością

iść całą noc, ażeby wyprzedzić trochę generała Knoxa.

Pozostałem na stanowiskach do zachodu słońca, ukazując się umyślnie nieprzyjacielowi. Nakazałem nawet porobić oszańcowania z kamieni, ażeby Anglicy sądzili, że mamy zamiar stawić im na jutro opór w tem miejscu, a przed samą nocą poobsadzałem te stanowiska burgerami. Ale gdy już zapadła głęboka noc, dałem rozkaz wyruszenia w pochód.

Niektórzy burgerowie szemrali:

— Co znaczą te ciągłe zmiany planów generała?

A ja sobie mówiłem w duchu:

— Dowiedziecie się o tem jutro!

Poszliśmy prosto ku Sprinkhaansnek, lecz nie szliśmy prędko, ponieważ dużo koni było tak zmęczonych, że burgerzy musieli iść pieszo, ciągnąc je za uzdy. Generał Filip Botha i ja szliśmy w tylnej straży, osłaniani przez komendanta Prinslov i część burgerów z Betlcenu, trzystu ludzi, którzy połączyli się z nami, przeszedłszy przez Sprinkhaansnek. Wiedząc, że konie komendanta Prinslov były wypoczęte, wyprawilem go do przedniej straży, kazałem powrócić do Sprinkhaansnek i zająć dobre stanowisko na północ linii, na wschód od Thaba'Nchu.

Dałem mu ten rozkaz dlatego, ażeby nazajutrz przy przejściu tego wąwozu mógł przeszkodzić nieprzyjacielowi, gdyby nas chciał zatrzymać w Thaba'Nchu, lub przysłać posiłki dla fortów Sprinkhaansneku.

To nas ocaliło. O wschodzie słońca Anglicy, spostrzegłszy nas ze szczytu Thaba'Nchu, wyprawili wojsko na nasze spotkanie. Ale komendantowi Prinslov udało się ich odepchnąć, a gdy doszliśmy do Sprinkhaansnek, mieliśmy już tylko dwa forty do zdobycia.

Dnia 14-go grudnia rano przed świtem komendant Prinslov posunął się ku tym dwom fortom, które natychmiast rozpoczęły przeciw niemu ogień. Ale Prinslov nie zatrzymał się w pochodzie, wydał rozkaz ruszenia galopem. Wysunięty posterunek nieprzyjacielski, stojący na połowie drogi między dwoma fortami, sądził przez chwilę, że jeżeli da ognia do szarżujących burgerów, ustąpią z drogi. Ale nieprzyjaciel nie znał bohatera, jakim był Prinslov. Powtórzył on tylko rozkaz ruszenia galopem, a następstwem tego było, że dwaj żołnierze, którzy nie zdążyli się usunąć, zostali przewróceni na ziemię. Nasi ludzie utrzymywali nawet, że ci dwaj Anglicy zostali straceni na śmierć. Ale czytelnik przyzna, że w takiej chwili nikt o nich się nie troszczył, zresztą, dla nikogo nie było bezpiecznie stać na drodze podczas naszej szarży.

Przez ten czas Botha i ja szliśmy ciągle w tylnej straży. Wiedziałem, że pomocnik naczelnego wodza, Piet Fourie, który nie lękał się niczego i miał do pomocy niemniej odważnego veldkorneta Jana Hattingha, idzie przed nami. Nie czekał nawet na nas z przejściem wąwozu. Pośpieszyłem wtedy i wysunąłem się naprzód, zalecając burgerom, ażeby podążali za mną zwolna ze swemi zmęczonemi końmi. Mogłem ich pozostawić trochę w tyle, gdyż byłem pewny, że Knox jest jeszcze daleko. Przy pierwszym szturmie połączyliśmy się z generałem Fourie w chwili, gdy przechodził między dwoma fortami. Zaledwie dostałem się na najbliższe wzgórze, gdy kazałem całemu oddziałowi stanąć i rozkazałem kilku ludziom odprowadzić konie w bezpieczne od napadu nieprzyjaciela miejsce.

Wprowadziłem resztę ludzi na grzbiet wzgórza i ztamtąd rozpoczęliśmy strzelać do obu fortów na prawo i na lewo z odległości ośmiuset do dziewięciuset kroków. Ogień był tak gwałtowny, że nie po-

zwoliłem Anglikom przeszkadzać przejściu naszego konwoju.

Ażeby czytelnik mógł mieć wyobrażenie, co to jest przejście przez Sprinkhaansnek, niech sobie przypomni, że musieliśmy iść pomiędzy dwoma dobrze oszańcowanymi blokhauzami o tysiąc do tysiąca dwustu kroków odległymi od siebie i że nasza droga nie była niczem osłonięta. Niebezpieczna przestrzeń wynosiła najmniej 3,000 kroków. Trzeba uznać, że w tym wypadku opiekowała się nami Wszechmoc Boga.

Nie dowiedziałem się nigdy dokładnie, jakie były straty Anglików.

Udało nam się jeszcze przeprowadzić kilka wozów i wózków i dwie armaty, zdobyte w Dewetsdorp. Jedno działo musiał pozostawić sierżant artylerji, zanim doszedł do linii strzałów. Odesłał on artylerzystów i konie komendantowi Hasebrock, któremu udało się później, pomimo pościgu Anglików, przejść przez Ijzernek na zachód od Thaba'Nchu.

Ale mój ambulans z doktorami Fourie i Poutsma został schwytyany przez Anglików, bo doktor Fourie zatrzymał się był opodal miejsca utarczki, zamierzając przejść później. Jenerał Knox wypuścił ich nazajutrz na wolność i dał im nawet list do mnie, zawiadamiający, że komendant Hasebrock poniósł krwawą porażkę w pobliżu Thaba'Nchu. Nie uwierzyłem temu, ponieważ miałem już wtedy wiadomość, że komendantowi udało się przejść bez straty i że nawet zabił kilku ludzi pułkownikowi White, który chciał mu zagrozić drogę.

Postanowiliśmy wtedy cofnąć się trochę dalej, ażeby dać koniom kilka dni wypoczynku. Ale nie traciłem z oczu planu wtargnięcia do Kraju Przyładkowego i miałem nadzieję wykonać go, gdy tylko przedstawi się sposobność. Jednakowoż rozumiałem to dobrze, że moje oddziały nie będą mogły odpocząć dopóty, dopóki prezydent Stejn i ja będziemy

na ich czele, bo my byliśmy celem pogoni Anglików. Postanowiłem zatem oddalić się trochę od moich ludzi i zabrać z sobą prezydenta, gdy tylko przybędziemy do Winburga.

Miałem prócz tego drugi plan, o którym opowiem później, a który miał jeszcze więcej splątać interesy Anglików.

Dostaliśmy się do farmy na południe od Senekalu, ale ponieważ wojska generała Knoxa odnalazły nasz trop, zaczęły nas ścigać nanowo. W okolicy trafiały się drobne potyczki; w jednej z nich poległ syn komendanta Trutera z Harrismithu. Ztamtąd wyruszyliśmy po południu w pierwsze święto Bożego Narodzenia 1900 r., ażeby się dostać do Tafelkopu, o 10 mil na wschód od Senekalu.

ROZDZIAŁ XXIV.

Wojna z kobietami.

Dnia 26-go grudnia postanowiłem rozdzielić nasz oddział na dwie części; pierwsza miała być pod dowództwem pomocnika naczelnego wodza, Filipa Bothy, druga pod rozkazami Pieta Fourie.

Pozostawiłem prezydenta Stejna pod strażą eskorty, dowodzonej przez komendanta Davela. Prowadził on członków rządu do Reitz.

Ja zaś postanowiłem pójść do komendanta C. C. Fronemana, który był w Heilbronie z komendantem L. Steenkampem z tego obwodu. Chciałem pojechać ztamtąd z silną eskortą i odkopać amunicję, którą zabrałem Anglikom 7-go czerwca. Nie mieliśmy już prawie ładunków do karabinów Mausnera

i Lee-Metforta. Mieliśmy tylko znaczny zapas nabo-
jów do karabinów Martini-Henri i Giddy.

Wyruszyłem więc 27-go grudnia i w dwa dni
później przybyłem do Heilbronu, do oddziału jenera-
ła Fronemana. Miałem zamiar pozostać tam aż do
31-go grudnia, ażeby mieć czas na zgromadzenie
wózków i wołów, potrzebnych do przeniesienia amu-
nicyi. Ale nie łatwo było wtedy dostać wózków, bo
Anglicy pozabierali je z farm i spalili bardzo znaczną
ilość.

Farmy, które przedtem miały przynajmniej je-
den wózek, parę wołów, a często i więcej, zostały
bez niczego. Jeżeli zaś przypadkiem został wózek,
chowano go starannie do ucieczki całej rodziny na
wypadek ukazania się nieprzyjaciela, taką grozę bu-
dziły obozy koncentracyjne, które Anglicy zaczęli
wtedy zakładać we wsiach, gdzie stały silne załogi.

Lord Roberts wydał proklamacye, zapowiadają-
ce, że spalona będzie każda osada położona w pro-
mieniu dziesięciomilowym od miejsca, gdzie Boerowie
zburzą linię kolejową. Rozkaz ten był wypełniany
wszędzie i nieraz można było widzieć płonące osady,
położone dalej, niż dziesięć mil od kolei. Jeżeli ich
nie palono, to wysadzano dynamitem, a wtedy wszystko
przepadało: meble, zapasy zboża były niszczone, zwie-
rzęta pociągowe, konie, woły, muły, stada bydła na-
wet zabierał nieprzyjaciel. Niekiedy dla prędszego uła-
twienia się z robotą, zabijano konie kulami karabino-
wemi, owce tysiącami padały pod ciosami Kafrów
i oddziałów *National Scouts*, lub żołnierze nadziwiali
je na bagnety. Spustoszenie szerzyło się z każdym
dniem.

A kobiety boerskie? Czy straciły odwagę wo-
bec tego? Bynajmniej. Gdy tylko zaczęła się woj-
na z nimi, a raczej wojna przeciwko nim i mięniu
ich mężów—nie zawahały się przed ucieczką, byleby
nie wpaść w ręce Anglików. Chcąc ocalić trochę

żywności dla siebie i dzieci, pakowały zboże i najniezbędniejsze przedmioty na wozy. Potem kiedy w nocy zbliżał się oddział nieprzyjacielski, córka prowadziła woły za uzdę, a matka poganiała je z tyłu biczem. Wzruszający był widok tych dziewcząt delikatnych i dobrze wychowanych, które zmuszone były siadać na konia i pędzić stada bydła, ażeby uciec przed nieprzyjacielem i nie zostać uprowadzonymi do obozów koncentracyjnych, które Anglicy nazywali miejscem schronienia!

Co za hypokryzja!

Czy można było przypuścić przed tą wojną, że w XX wieku będziemy patrzeli na podobne okrucieństwa! Rozumiem to dobrze, że są okrucieństwa nieuniknione, i że trudno usunąć wszystkie powody do zatargów pomiędzy narodami; ale byłbym łatwiej oddał głowę, niż uwierzył, że w wojnie, prowadzonej przez naród ucywilizowany, za jaki uważa się Anglia, będą się działy podobne zbrodnie przeciwko kobietom i dzieciom bezbronnym. Tak jednak się stało.

Nasze *laagery*, złożone z kobiet, dzieci i starców, uciekały, ścigane przez Anglików, którzy zasympywal je pociskami działowymi i karabinowymi, ażeby zatrzymać w ucieczce! Mógłbym co do tego cytować setki świadectw zupełnie wiarogodnych, ale nie chcę rozwodzić się dłużej nad tą kwestyą, pozostawiając sprawcom tych gwałtów całą odpowiedzialność, jaka ich obarczy wobec historii. Ja tylko mimochodem przytaczam niektóre szczegóły. Jest dużo ludzi dobrej wiary zarówno w Anglii, jak i w Afryce południowej, którzy mogą opowiedzieć o tych niegodziwościach i ujawnić je przed całym światem.

Pozwoliłem sobie na to zboczenie dla ulżenia memu sercu. Na tem kończę i prowadzę dalej moje opowiadanie.

Wieczorem 1 stycznia 1901 roku zebrałem

ostatecznie ilość wózków, jaką uważałem za niezbędną. Przeszedłem przez kolej w Roodewalu, podczas gdy Anglicy spali. Szliśmy potem wzdłuż plan-tu kolei, niespostrzeżeni przez nieprzyjaciela. Prze-byliśmy w ten sposób około ośmiu mil, zanim noc się skończyła.

Nazajutrz wieczorem dostaliśmy się do miejsca, gdzie była zakopana amunicja. Była ona tam bez-pieczna, pomimo sąsiedztwa obozu nieprzyjacielskiego przy moście na rzece Rhenoster. Szło teraz o to, ażeby jej nie postradać, bo wojna zapowiadała się jeszcze długa. Nie myśleliśmy o zrzeczeniu się walki, a duma Anglików także nie pozwalała im na to.

Amunicja została przeładowana na wózki i je-nerał Froneman przeprowadził je przez plant kolejowy. Ja zaś pojechałem o piętnaście mil ztamtąd, do od-działu z Vredefortu, ażeby z nim przedsięwziąć dal-sze działania. Wieczorem 4 stycznia z dziesięciu ofi-cerami mojego sztabu przeszedłem przez kolej żela-zną blisko dworca we Vredefortweg.

W dwa dni później złączyłem się z oddziałem Fronemana i sprawdziłem, że amunicja dojechała szczęśliwie.

Dowiedziałem się wtedy, że generał Knox po-dzielił swoje siły na trzy części. Pierwsza toczyła walkę z generałem Fourie i komendantem Prinslov, w pobliżu Betleemu, gdzie nasi burgerzy stawiali jej dzielny opór. Na nieszczęście, dwóch z naszych tam padło, mianowicie mężny veldkornet Ignatius du Pre-er. Ten oficer był uosobieniem dobroci i jego lu-dzie uwielbiali go.

Druga część Anglików szła na Heilbron, trze-cia ścigała Filipa Bothę w dolinie Liebenbergu. Ko-lumna ta miała może zamiar zabawić się kosztem je-nerała boerskiego, ale że on nie miał ochoty na ta-kie poufałości, umiał okazać przeciwnikowi 3 stycznia w kilku potyczkach, jak dalece jego widok jest mu

nieprzyjemny. Zaatakował mianowicie z 60 burgerami oddział stu pięćdziesięciu „*Body-guards*”¹⁾; stu siedemnastu zostało wziętych do niewoli, reszta poległa lub odniosła rany.

Następstwem tej szczęśliwej dla nas potyczki był popłoch w szeregach generała Knoxa.

Kolumna idąca do Heilbronu drogą od Lindleyu, zawróciła natychmiast ku Kroonstadowi, ale natknęła się parę razy na generała Bothę, który jej zadał duże straty. Część, walcząca z generałem Fournie i z komendantem Prinslov, uciekła ku Senekalowi.

Kiedy 8 stycznia przybyłem do *laageru* Bothy, o sześć mil na wschód od Lindleyu, generał Knox powrócił już do Kroonstadu. Mogliśmy trochę odpocząć.

Tegoż dnia dostałem raporty komendanta Kruizingera i kapitana Scheepersa z kolonii Przylądkowej. Donosili oni, że przeszli rzekę Pomarańczową przez bród. Sąsiedniego brodu strzegli Anglicy. Żołnierze angielscy, zamknięci w jakimś domu, nie wiedzieli, że nasi są w tych stronach, i zadziwili się bardzo, gdy Boerowie otworzyli drzwi domu i zawołali:

— *Hands up!*

Obaj wodzowie zapewniali mnie o sympatyi dla naszej sprawy burgerów z kolonii Przylądkowej. Byłem zresztą tego pewny. Rozumieli oni dobrze, na jakie niebezpieczeństwo narażają się, łącząc się z nami, i wiedzieli, że będą uważani za buntowników. Nie wahali się mimo to przystąpić do naszej sprawy. Jednocześnie sędzia Hertzog nadesłał mi takie same wiadomości z okolic północno-zachodnich kraju Przylądkowego.

¹⁾ Lejb-gwardya:

Wskazówki te zachęciły mnie do pozostawienia części burgerów w tych stronach, gdzie działali, i do zebrania innych na nową próbę wtargnięcia do Kraju Przylądkowego.

Zebrałem w tym celu pod swemi rozkazami generałów: Pieta Fourie, Filipa Bothę i Fronemana, komendantów: Prinslov z Betleemu, Stejna z Ficksburga, Hasebroeka z Winburga, de Vosa z Kroonstadu, van der Merre z Paryża, Rossa z Frankfurtu, Wesselsa z Harrismithu (mianowanego na miejsce komendanta Trutera, który wziął dymisyę), Kolbego z Bloemfonteinu i Jana Thérona, na czele eklektyków, wsławionych przez naszego nieodżałowanego Daniela Thérona.

Koncentracja nasza dokonała się w Doornbergu, w okolicach Winburga.

Od 8-go do 25-go stycznia spokój panował w północnej i północno-zachodniej stronie Wolnego Państwa Orańskiego.

ROZDZIAŁ XXV.

Nowa próba wtargnięcia do Kolonii Przylądkowej.

Chciałem spróbować poraz drugi wejścia w granicę Kolonii Przylądkowej, ale obawiałem się bardzo, ażeby o moim zamiarze nie dowiedzieli się Anglicy, skutkiem tego, że z konieczności musiałem wtajemniczyć tak wielu ludzi. Potrzeba było prócz tego, ażeby każdy burger pojechał do domu po świeżego konia.

Ludzie zaczęli domyślać się, co się przygotowuje i wielu szeptało:

— Więc jeszcze raz zawróćmy ku Kolonii Przylądkowej!

Pomimo to wszyscy byli dobrego ducha, z wyjątkiem tych, którymi dowodzili oficerowie oporni i uparci. 25-go stycznia zebrali się wszyscy, oprócz generała Filipa Bothy i komendanta Hermana Bothy z burgerami z Vrede, którzy jeszcze nie zdążyli nadciągnąć.

Prezydent Stejn i członkowie rządu postanowili również pójść ze mną. Miałem wszystkiego tysiąc ludzi.

W Doornbergu rząd złożył radę wojenną. Prezydent przypomina, że jego mandat wkrótce się kończy. Wykazał, że niepodobna przeprowadzić prawidłowego obioru, bo Volksraad nie jest w możności zebrać się. Rada wojenna postanowiła zatem przedstawić burgerom kandydata, pozostawiając im wolność obrania kogo zechcą. Ten, na którego padnie największa ilość głosów, będzie uważany za tymczasowego prezydenta, złoży przysięgę jako taki, i zachowa ten urząd do chwili, gdy położenie kraju umożliwi prawidłowe wybory.

Po głosowaniu jednomyślnie obrany został obecny prezydent Stejn.

Wybór ten został potwierdzony później, gdy ceremonia odbyła się legalnie.

Jeden był tylko głos przeciwko niemu i ten przypisywano Cecilowi Rhodesowi; lecz jego pomysł nie znalazł zwolenników, a jeszcze mniej naśladowców. Prezydent Stejn został więc wybrany i złożył przysięgę.

Radę Wykonawczą Wolnego Państwa Orańskiego składali w owej chwili następujący członkowie: Stejn — prezydent, J. Braim i W. J. C. Brebner — sekretarze Rady, A. P. Cronje, Jan Meyer i ja — członkowie Rady. Rocco de Villiers był sekretarzem Rady Wojennej, Gordon Fraser pełnił obowiązki sekretarza prywatnego prezydenta. Pro-

kuratora jeneralnego nie było. Jakób de Villiers, który zajmował ten urząd, dostał się do niewoli w Bothaville. W jego zastępstwie Henryk Potgieter, sędzia pokoju w Kroonstadzie, pełnił obowiązki jego urzędu przy Radzie Wojennej.

Jeżeli prawomocny Volksraad nie mógł się od-
tąd zebrać, należało to przypisać dwom bardzo smutnym powodom. Najpierwej temu, że wielu członków tego dostojnego zgromadzenia poddało się Anglikom, a inni uważali, że zasłużyli się już dosyć ojczyźnie, głosując za wojną, i nie zrobili nic dla jej podtrzymania.

Nie myślę bynajmniej utrzymywać, że ci właśnie zblądzieli, bo teraz wszyscy wiedzą, że rezultat byłby zawsze ten sam i że Anglia zdecydowana była zagarnąć nasz nieszczęśliwy kraj, chociażby miały paść tysiące nietylko burgerów, kobiet i dzieci niewinnych, ale i biednych żołnierzy z za morza; dla których mieliśmy zawsze litość, a którzy w obronie niesłusznej sprawy ponosili śmierć równie okrutną, jak bezużyteczną.

Ale co zarzucam wielu członkom Volksraadu, to, że powstali z miejse i wyrzekli:

„— Oddamy ostatnią kroplę krwi w obronie kraju.”

Ale starali się nie oddać nawet pierwszej. Po prostu zostali w domu i czekali, aż Anglicy przyszli wziąć ich do niewoli. Zaledwie dziesięciu pozostało wiernych przyrzeczeniu, a to uniemożliwiało legalne postanowienie.

Uważam za obowiązek wymienić tu nazwiska tych dziesięciu wiernych sprawie, którzy na polu bitwy i w naradach rządu nie zwątpili nigdy o losach ojczyzny.

Byli to: C. H. Wessels z Boshofu (prezylujący w zarządzie), Wessel Wessels z Vrede, J. B. Wessels z Winburga, A. P. Cronje z Winburga, J. Steijl z Bloemfonteinu, Jan Meyer z Harrismithu,

J. Van Niekerk z Fauvesmithu, Daniel Stejn z Heilbronu, Henryk Ecksteen z Vrede i Henryk Serfontein z Kroonstadu.

Wyruszyliśmy z Doornberga 26 stycznia do farmy komendanta Pawła Hasebrocka, o osiem mil na północ od Winburga.

Znaczne siły angielskie znajdowały się w owej chwili w tej okolicy: jeden oddział o siedem lub osiem mil na wschód od Winburga, drugi o jedenaście lub dwanaście mil dalej ku wschodowi, nakoniec trzecia kolumna szła na nas od północo-zachodu. Od tej chwili łatwo było zrozumieć, że nieprzyjaciel zna nasze plany.

Zresztą, jak wspomniałem wyżej, niepodobna było uniknąć tej przykrej niedogodności. Skutkiem charakteru naszej armii nie można było utrzymać w tajemnicy najdrobniejszej operacyi strategicznej.

Poraz ostatni wyjawilem wtedy swój plan. Ale że zle już się stało i że nieprzyjaciel nas niepokoił, trzeba było obmyśleć coś niezwłocznie. Nie chcąc zetknąć się z Anglikami, coby opóźniło nasz pochód, postanowiłem uniknąć spotkania za pomocą wybiegu. 27-go stycznia wyprawilem eklererów na wschód od Winburga dla zbadania miejscowości i poleciłem im, ażeby pokazali się nieprzyjacielowi dla przekonania go, że mamy zamiar przejść tamtędy.

Potajemnie wysłałem innych eklererów na zachód.

Wyniknęło z tego, że wieczorem mogliśmy przejść kolej, nie spotkawszy najmniejszego oporu, i przybyliśmy wszyscy nazajutrz rano na brzeg rzeki Vet. Na nieszczęście, nie mogliśmy posuwać się szybko, ażeby nie męczyć zanadto naszych koni ¹⁾ i skutkiem tego Anglicy stracili nas z oczu tylko na krótko.

¹⁾ Z powodu koni czekała nas nowa trudność. Pomimo obfitych deszczów, jakie w listopadzie i grudniu spadły na południu i zachodzie Wolnego Państwa, przekonali-

Nazajutrz po przybyciu do Tabaksbergu doniesiono mi, że Anglicy nadciągają dwiema kolumnami. Kazałem wszystkim siadać na koń i ruszyliśmy zając silne stanowisko na wschód od tej góry.

Prawe skrzydło Anglików znajdowało się na wschód. Nasze stanowiska były bardzo silne. Pomimo to nie mogliśmy uderzyć na nieprzyjaciela na jego prawem skrzydle. Kazałem więc uderzyć na lewe skrzydło o sześć mil ku południo-wschodowi. A tam zabraliśmy jednego Maxima-Nordenfelta w doskonałym stanie. Pierwsze to starcie kosztowało nas jednego poległego i trzech rannych. Nieprzyjaciel zabrał kilku swoich poległych i rannych, ale pozostawił na placu tych, co bronili działa.

Nie mogliśmy wyprzeć Anglików; walka trwała cały dzień, a żadna ze stron nie mogła wziąć góry. Prawda i to, że nasi przeciwnicy nie mogli nas zmusić do cofnięcia się. Straciliśmy w ciągu tego dnia dwóch burgerów zabitych i rannych.

Ale nie mogliśmy myśleć o pozostaniu w tem miejscu i prowadzeniu w dalszym ciągu bitwy następnego dnia; Anglicy byliby mieli czas do oszańcowania się i otrzymania posiłków, a wtedy nasz zamiar wejścia do Kolonii Przyładkowej byłby narażony na poważne niebezpieczeństwo.

Co należało uczynić?

Nieprzyjaciel był tuż i trzeba nam było ruszać dalej.

Przed nami ciągnęła się linia fortyfikacji od Bloemfonteinu do Ladybrandu, wzmocniona jeszcze od czasu, gdy nam się udało przejść przez Sprinkhaansnek. Przejść znowu przez to samo miejsce nie było już możliwem. Postanowiłem skutkiem tego iść przez Thaba'Nchu.

śmy się z wielkiem żmartwieniem, że trawa została zupełnie zjedzona przez koniki polne. Nasze konie nie miały co jeść, a nam nastęrczało się trudne zadanie utrzymania wierzchowców w dobrym stanie i siłach.

Dla zmylenia czujności Anglików posłałem następnego rana silny patrol w kierunku Sprinkhaansneku. Mogłem w ten sposób posuwać się, nie będąc widzianym — co było wielką korzyścią — i zbliżyć się na siedem lub osiem mil do blokhauzów. Tam należało przystanąć. Bo gdyby Anglicy zobaczyli nas wtedy, mogliby ściągnąć swoje siły z Thaba'Nchu, z Samasportu, z Bloemfonteinu, z okolicznych fortów i przeszkodzić naszemu przejściu.

Wiedziałem prócz tego, że w danym razie miałbym do czynienia z generałem Knoxem, dawnym znajomym, który już raz przeszkodził mi wejść do Kolonii Przylądkowej.

Był to bardzo niedogodny znajomy, w samej rzeczy, co mogliby zaświadczyć ci wszyscy, którzy mieli z nim do ożynienia. A choć nie lubił chodzić nocą, odzyskiwał w dzień czas stracony, a na polu bitwy dawał dowody wielkiego męstwa.

Jak już mówiłem, zatrzymaliśmy się, sądząc, że jesteśmy bezpieczni, kiedy moi eklererzy przybyli z ostrzeżeniem, że wojska generała Knoxa idą na nas. Dałem bezzwłocznie rozkaz siadania na koń i nasz skromny tabor, złożony z dziesięciu wózków, naładowanych amunicją i mąką, ruszył w pochód. Jednocześnie pozostawiłem część oddziału pod rozkazami generała Fourie z poleceniem zatrzymania—o ile można najdłużej — pochodu nieprzyjaciela, i objąłem dowództwo nad resztą oddziału, ażeby mu utrudować drogę pomiędzy fortami angielskimi. Szczęściem dla nas, patrol, wyprawiony rankiem w stronę Sprinkhaansneku, nasunął generałowi Knoxowi przypuszczenie, że mój oddział dąży w tamtą stronę. Szedł więc zrazu w tym kierunku, dopóki nie spostrzegł, że go zwiódłem. Chciał wtenczas zawrócić ku zachodowi, ale zastał generała Fourie, który mu stawiał silny opór. Dwóch burgerów odniosło w tej utarczce ciężkie rany.

Przez ten czas zbliżywszy się do fortów, poło-

żonych pomiędzy Thaba'Nchu a Sannasport, zobaczyłem nadciągającą na pomoc od strony Bloemfonteinu jazdę angielską. Trzeba było szybko coś postanowić, bo konnica nieprzyjacielska zręcznymi obrotami zacieśniała się wkoło nas nakształt oczek sieci. Po wybiegach — trzeba było uciec się do siły. Nie mogłem się wahać.

Kazałem bombardować fort, zagradzający mi drogę, z działa zdobytego w Dewetsdorpie i z Maxima-Nordenfelta. Byliśmy oddaleni od niego o 4,000 metrów. Ale działa angielskie były doskonałe i umieliśmy ich używać, bo to z Dewetsdorpu nie było pierwszym, które zdobyliśmy. Rezultat wprędce się okazał: po pierwszym strzale Anglicy opuścili blokhaus i cofnęli się do drugiego, położonego dalej na wschód. I ten z kolei został opuszczony przez obrońców. Fort od zachodu zajął natychmiast komendant Steenekamp i jego burgerzy z Heilbronu, wzięli do niewoli kilku Anglików, którzy nie uciekli. Jeden tylko z naszych został lekko raniony, Pieter Steenekamp, syn komendanta. Ojciec i syn tego dnia zasłużyli się dobrze ojczyźnie!

Droga stała przed nami otworem. Ruszyliśmy zatem w kierunku Dewetsdorpu, we dwie godziny po zachodzie słońca, gdy nas dopędził generał Fourie. Przybyliśmy do Dewetsdorpu 30 tegoż miesiąca. Anglicy domyślili się widocznie, że ich nie rad widzę w swoim rodzinnem gnieździe, bo nie zdecydowali się jeszcze powrócić od czasu, gdy ich ztamtąd wypędziłem.

Ale i generał Knox ze swej strony nie tracił czasu. Poszedł do Bloemfonteinu, zkaąd wyprawił swoje wojska kolejną ku rzece Pomarańczowej, do miejsca, gdzie stoi most w Bethulii.

Zapewne Knox domyślił się, że tym razem mamy stanowczy zamiar wejść do Kolonii Przylądkowej. Zebrał więc wszystko wojsko, jakim rozporządzał, ażeby przeszkodzić naszemu przejściu. Do-

wiedziałem się wkrótce, że Anglików było wszędzie potrochu: koło mostu w Bethulii, w Springfonteinie i w Norwalsponcie. Poobsadzali wszystkie mosty i strzegli jednocześnie wszystkich brodów. Przeważałem, że trudno będzie ich uniknąć i że mój przyjaciel, Knox, chce mnie zmusić do spotkania. Postanowiłem sobie, że jeżeli chce się on ze mną spotkać, musi zdobyć się na trochę cierpliwości. Robiłem jednak, co mogłem, ażeby się z nim nie zejść.

Posłałem w tym celu generała Fronemana, który był wtedy u źródeł rzeki Kaffer, na zachód od Dewetsdorpu, ku dworcowi kolei w Jägersfonteinie, a generała Fourie ku Oedeaalstroomie, blisko rzeki Pomarańczowej: miał się tam zatrzymać w pobliżu farmy Kleinkinderfontein, na zachód od Smithfieldu. Następnie wyprawilem eklererów ku Odendaalsdriftowi. Codzień moi ludzie widzieli krążących Anglików. Dowiedzieli się nawet, że nieprzyjaciel spodziewa się, iż w tych okolicach przejdziemy przez rzekę Pomarańczową dla wtargnięcia do Kolonii Przylądkowej. Chcąc przejść, trzeba było po użyciu siły uciec się teraz do wybiegu. Wyprawilem więc nazajutrz patrol do tego samego miejsca, rozkazawszy mu uwijać się w różnych kierunkach. Jednocześnie rozpuściłem zrecznie wiadomość, że uważam za zbyt niebezpieczną przeprawę przez rzekę poniżej miejsca, w którym się łączy z rzeką Caledon, bo rzeka wydaje mi się zanadto głęboka w tem miejscu, i najmniejszy deszcz uczyniłby ją niemożliwą do przebycia. Kazałem prócz tego rozpowiadać wszędzie, że poto sprowadziłem generała Fronemana, że mam zamiar zdobyć Odendaalstroom, lub uderzyć na most w Aliwal-Noord. Bajka ta—byłem pewny—dojdzie do generała Knoxa, bo w tej okolicy miał licznych przyjaciół

Rzeczywiście zaś rozkazałem Fronemanowi iść w kierunku Zoaddriftu, położonego w równej odle-

głości od kolejowych mostów w Norwalspont i w Hoppetown. Po drodze generałowi udało się w pobliżu dworca w Jägersfonteinie schwytać pociąg, po zerwaniu relsów przed nim i za nim. Zabral z pociągu mnóstwo rzeczy bardzo pożytecznych: siodeł, kołder, amunicyi—co mu sprawiło wielką radość. Powtarzam tu raz jeszcze, że jeżeli postanowiliśmy żyć kosztem nieprzyjaciela, to dlatego, że on nas do tego zmusił, przecinając nam wszelki dowóz.

Burgerzy, zaopatrzwszy się dobrze, podpalili wagony i odeszli. Ja zaś stałem nieruchomo cały dzień, ażeby się upewnić, iż Anglicy znają już moją mniemaną tajemnicę. Mogłem sobie powinszować pomysłu, bo wkrótce nieprzyjaciel zwrócił się ku miejscu, które nazaczyłem na przejście rzeki.

Ja zaś ruszyłem tego samego wieczora (5 lutego 1901) z częścią mojej armii, z działami i wózkami, i przybliżyłem się do dworców w Springfonteinie i w Jägersfonteinie. Moje wojsko ukryło się nazajutrz, a tymczasem generał Fourie wykonał dany mu rozkaz, został jeszcze dwa dni tam, gdzie staliśmy, i ukazywał się ze swymi jeźdźcami w okolicach Odendaalsstroomu.

Następnego wieczora przeszedłem bez przeszkody linię kolejową. Tam nieszczęśliwy przypadek wydarł mi dzielnego oficera, Banie Euslina, jednego z najzdolniejszych moich eklererów, który wpadł, ciężko raniony, w ręce Anglików. Oficer ten poprzedzał nas z jednym kolegą z „eklererów Thérona”, szukając miejsca dogodnego, gdziebyśmy mogli przejść przez kolej. Noc była ciemna i zbłądził. Myśmy przeszli nie niepokojeni, a on i jego towarzysze, o kilka mil ztamtąd ku północy, wpadli na posterunek angielski, który ich przyjął strzałami. Biedny młodzieniec został tak ciężko raniony, że nie można go było przewieźć. Towarzysz jego, połączywszy się z nami nazajutrz, przyniósł nam tę smutną wiadomość.

Przyśpieszyliśmy nasz pochód, o ile zrobić to było można. Ale że drogi były rozmokłe po deszczach, woły z wielkim trudem ciągnęły wozy, a muły armaty.

W Lubbesdrift, o sześć mil na północ od Philippolis, generał Froneman połączył się z nami 8 lutego. Szliśmy ciągle w tym samym kierunku i 10 lutego weszliśmy nareszcie do Kolonii Przylądkowej.

Mój stary przyjaciel, Knox, z całym swoim aparatem dział, konnicy i blokhausów, nie zdołał mnie zatrzymać przy sobie. Po całomiesięcznym marszu doszedłem na koniec do celu.

Zaledwie przeprawiliśmy się przez rzekę, dało mi znać, że w pobliżu jest dwudziestu Anglików, strzegących brodu, którzy oszańcowali się na szczycie wzgórza naprzeciwko nas. Wyprawilem tam zaraz veldkorneta z dwudziestu pięcioma ludźmi, pomiędzy którymi był mój oficer sztabowy, Willem Pretorius). Veldkornet nie chciał zbliżyć się za blisko do nieprzyjaciela. Wtedy Pretorius i czterej burgerzy postanowili wdrzeć się na wzgórze. Każdy z nich poszedł inną drogą, strzelając do oszańcowań nieprzyjaciela. Anglicy odpowiadali

) Muszę dać też parę szczegółów, odnoszących się do osoby Willema Pretoriusa—tego kochanego Willema! Miał zaledwie 21 lat, gdy go mianowałem veldkornetem. Był to człowiek rzadkiego męstwa i odwagi nieustraszonej, Pełnił obowiązki veldkorneta, kiedy na dwadzieścia dni przed zawarciem pokoju, walcząc pod rozkazami komendanta Meyera, padł, ugodzony kulą z odległości co najmniej 1,700 kroków. Zginął w Kolonii Przylądkowej mążny Willem! Przez cały czas wojny szczęście mu jednak sprzyjało; sześć koni zabił pod nim nieprzyjaciel, a kilka zranił; on sam nie był nigdy nawet draśnięty. Ale sądzonem było, ażeby i on, tak jak wielu innych, padł ofiarą w obronie własnej sprawy swej ojczyzny. Drogi Willem! Niezapomniemy nigdy o tobie i o twoich towarzyszach, którzy polegli w boju.

zrazu gęstemi strzałami, ale gdy moi ludzie byli już w bezpiecznem miejscu u stóp szanca, Anglicy wywiesili białą chorągiew, wołając:

— Poddajemy się!

Jednem słowem, Willem Pretorius i jego czterej towarzysze wzięli dwudziestu jeńców, dwadzieścia koni, siodeł, rzędów i ładownic. Zabrali także dwie skrzynie, zawierające 3,000 nabojów. Wtedy dopiero nadszedł veldkornet. I ten dowódca, który powinien był iść na czele swoich ludzi, teraz konwojował tylko zdobyte łupy. Wkrótce potem ten veldkornet został—według wyrażenia Anglików—„stellenboshowany” ¹⁾, a na jego miejsce mianowalem Willema Pretoriusa.

Opuściwszy południowe wybrzeże rzeki, szliśmy całe popołudnie, ażeby się dostać do farmy pana Beruidenhouta, gdzie przebyliśmy cały następny dzień, czekając na generała Fourie, który w tem miejscu miał się z nami połączyć. Nadszedł tego samego dnia i ruszyliśmy zaraz dalej.

Jenerał Fourie był ścigany przez silną kolumnę angielską. Prócz tego dwie inne kolumny wyszły z Colesbergu do Hamelfonteinu, odległego od nas tylko o dwanaście do trzynastu mil. Ale wkrótce jedna z nich zwróciła się ku zachodowi, gdy druga tylko została w pobliżu nas. Przez ten czas wojska, ścigające generała Fourie, przeszły przez rzekę w Zanddrift.

Przez chwilę miałem zamiar, posuwając się w głąb kolonii Przylądkowej, rozdzielić moje siły na trzy korpusy. Ale musiałem odłożyć ten projekt do nadejścia generała Fourie. Po jego zaś przy-

¹⁾ „Stellenbosh”, wyrażenie, używane o oficerze, który dał dowody nieudolności i został wysłany do załogi w miejscu, nie mającem znaczenia.

byciu, Anglicy, którzy—jak się zdawało—chcieli skoncentrować swoje siły w pobliżu nas, nadciągnęli taką masą, że musiałem wyrzec się pierwotnego planu.

Jednakże porucznik Malan, który wkrótce potem został mianowany komendantem, a następnie generałem, posunął się dość daleko w głąb kraju.

Wyprawilem popołudniu mały nasz tabor wózków, drogą, idącą między Philipstown i Petrusville. Po kilku utarczkach o zachodzie słońca dostaliśmy się między linie angielskie. Udało nam się przerwać je tak, że nasz tabor mógł przejść nie niepokoju.

Idąc całą noc, doszliśmy do rzeki Hondeblaf. Tam, o wschodzie słońca, spostrzegliśmy, że znów niema paszy dla koni. Nasze nieszczęśliwe wierzchowce od samego Winburga nie miały nic do jedzenia, oprócz rzadkiej trawy. Prawda, że deszcz padał prawie ciągle, ale niestety! trawa mimo to nie była lepsza. To też od tej chwili, pewna liczba burgerów była zmuszona iść pieszo, bo koni brak było w całej okolicy... ¹⁾

Nasze wojsko zmniejszyło się prawie o 600 ludzi. Komendant Prinslov pozostał w tyle z 300 burgerami, pomocnik komendanta Van Tonder ze 100 ludźmi, a komendant de Vos z Orangerivier z 200-u.

Najpilniejsze było zerwanie linii kolei do Hopetownu, bo gdyby Anglicy zdołali przewieźć wojska tą koleją, mogliby bardzo przeszkodzić naszym działaniom. Mając to na względzie, opuściliśmy pośpiesznie brzegi rzeki Hondeblaf. Anglicy nie zaprzestali pościgu. Starcie z tylną strażą naszą było nieuniknione. Polecilem generałom Fourie

¹⁾ Dopiero później znaleźliśmy konie w okolicach Hopetownu i Prieshi, ale zawsze w ilości niedostatecznej.

i Fronemanowi osłaniać nasz odwrót. Zabrali nieprzyjacielowi znaczną liczbę jeńców i zrzadzili mu duże szkody.

Główne siły nasze posuwały się w najlepsze, gdy przypadł czwałem jeden ze „szpiegów pokojowych”¹⁾. Doniósł nam, że żołnierze angielscy są w farmie, położonej niedaleko przed nami. W pobliżu tej farmy usłyszał właśnie:

— „*Hands up!*”

Towarzysz, który z nim jechał, dostał się do niewoli. On sam zaś zdążył zawrócić i uciekł pod gradem kul. Osłaniał go pagórek, będący pomiędzy nami a farmą.

Ukryłem moich burgerów za tym pagórkciem. Potem wyprawilem kilku eklererów, ażeby rozpoznali liczbę wojska, stojącego w farmie. Donieśli mi, że oddział zsiadł z koni i ukrył je za krzewami owocowymi. Chwila była odpowiednia do napadu; pokażałem Anglikom swoje wojsko na samym grzbiecie wzgórza! Jeźdźcy widząc, że nie mogą uciec bez narażenia się na pewną śmierć, zajęli stanowiska po za tem, co im mogło służyć za ochronę.

Chcąc uniknąć daremnego narażania życia swoich ludzi, posłałem Anglikom list z radą poddania się. Podczas gdy pisałem, dali oni do nas kilka razy ognia, ale przestali strzelać, ujrzawszy mojego parlamentarza z białą chorągwią.

W kilka chwil potem odniósł mi odpowiedź Anglików. Odmawiali oni złożenia broni.

Kazałem pięćdziesięciu ludziom uderzyć na nich natychmiast. Zaledwie wydałem rozkaz, burgerzy

¹⁾ „Pokojowymi szpiegami” nazywano burgerów, którzy, zobaczywszy farmę, wysuwali się naprzód bez rozkazu oficera, ażeby kupić chleba dla siebie i towarzyszków. Własny interes wydawał im się ważniejszy od interesu całego oddziału.

rzucili się galopem na pozycje nieprzyjacielskie. Wtedy ustała wszelka fanfaronada. Nie strzeliwszy ani razu do atakujących, Anglicy poddali się. Zdobyliśmy dwudziestu jeńców, dwadzieścia koni w dobrym stanie, dwadzieścia karabinów i tyleż ładownic. Od chwili przejścia przez rzekę Pomarańczową wzięliśmy dziewięćdziesięciu jeńców.

Można sobie wyobrazić radość drugiego „szpiega pokojowego”, który przez pięćdziesiąt minut był w rękach Anglików i przysięgał teraz, że nie da się więcej schwytać.

Nazajutrz przybyliśmy do farmy, położonej w dolinie zwanej Moddervlei. Nieprzyjaciel naciskał nas tak bardzo, że o zachodzie słońca był zaledwie o pięć mil od nas.

Na chwilę przed naszym zejściem w dolinę kilku eklererów spotkało się oko w oko z piętnastoma Anglikami, którzy szli od strony dworca kolejowego w Houtkraal. Ujrawszy moich ludzi, Anglicy próbowali uciec. Jeden został zabity, drugi raniony, dwóch wzięto do niewoli. Natychmiast wyprawilem dwa patrole z rozkazem przerwania toru kolejowego o siedem mil z każdej strony tego punktu, w którym postanowiłem przejść przez kolej, a to dla zabezpieczenia się, ażeby pociąg opancerzony nie najechał na nas podczas przechodzenia plantu.

Tej samej nocy mieliśmy przebyć Moddervlei. Skutkiem deszczów dolina zalana była na szerokość mili. Woda sięgała nam do kolan, niekiedy jeszcze wyżej. Gdyby to była tylko woda, zle nie byłoby tak wielkie. Ale na nieszczęście, grunt w tem miejscu był tak grzązki, że konie zapadały po kolana. Skutkiem tego siodła zamakały i niszczyły się. Trzeba było jednak przeprowadzić w tych warunkach czterysta koni. Położenie nasze dalekie było od pomyślności. Wielu ludzi wpadało w wodę. Ale największa trudność była z przeprowadzeniem wózków i armat. Trzeba było czasem zaprzęgać trzydzieści, a na-

wet pięćdziesiąt wołów do jednego działła i jeszcze mimo to biedne zwierzęta z największym tylko wysiłkiem mogły wydobyć armatę, zagłębioną w błocie po same osie.

Nakoniec tabor nasz zdołał się przeprawić razem z powozikiem, na którym były nasze papiery i dokumenta. Ulgnęła tylko w błocie jedna skrzynia z amunicją i wór ze zbożem. Co robić? Słońce miało za chwilę wschodzić, a przed jego ukazaniem się trzeba nam było przejść na drugą stronę toru kolejowego. Nie mogliśmy się dłużej zatrzymywać, mając na karku ścigające nas wojsko, a przed sobą kolej. Tą koleją Anglicy mogli z łatwością sprowadzić wojsko z De Aaru i z Hopetownu.

Dałem więc rozkaz tym, którzy przeszli, ażeby się posuwali dalej, i pozostawiłem w tyle generała Fóurie i stu burgerów na najlepszych koniach; mieli oni jeszcze próbować wyciągnąć ugrzęzłe wozy. Gdyby się im to nie udało, mieli podpalić wozy przed nadejściem Anglików i cofnąć się ku południowi.

Ja na czele oddziału skierowałem się ku plantowi kolei. Konie moich burgerów upadały ze zmęczenia. Wielu jeźdźców z tego powodu szło pieszo. Prowadziłem też z sobą swoich dziewięćdziesięciu jeńców, lękając się wypuścić ich na wolność w obawie, ażeby nie uwiadomili nieprzyjaciela o złym stanie naszych koni. Żał mi jednak było tych biedaków. Ale cóż mogłem dla nich uczynić, prócz tego, żeby się z nimi obchodzić jaknajlepiej, na równi z moimi burgerami.

Posuwaliśmy się jak można było najprędzej, a jednak słońce już miało wschodzić, kiedyśmy doszli do linii kolei. Mogliśmy ją przejść bez obawy, bo wyprawione przezemnie patrole zburzyły plant z obu stron.

Kiedy ukazało się słońce, zrozumiałem fatalne położenie nasze; na twarzach moich ludzi znać było zupełne wyczerpanie. I nie mogło być inaczej, bo

wczorajszy dzień upłynął nam na utarczkach i mieliśmy tylko jedną chwilę wolną, ażeby zsiąść z koni i upiec kawałek mięsa. Wojsko moje było przemoknięte do nitki; niewielu żołnierzy miało płaszcze nieprzemakalne. Byliśmy obłoceni od stóp do głów, a od dwudziestu czterech godzin nie mieliśmy jednej chwili wypoczynku.

O trzy mile od kolei kazałem przystanąć. Nie szczęściem, nie było i tam strawy dla naszych koni. Dano mi znać, że o godzinę drogi jest trawa. Kazałem więc znów siadać na koń, ażeby dostarczyć trochę paszy dla biednych zwierząt.

Lepiej — myślałem sobie — niech jeźdźcy przecierpią trochę więcej zmęczenia, niż żeby konie pozdychały z głodu. Mogłem sobie powinszować tego postanowienia, gdyż moi jeźdźcy mogli odpocząć spokojnie, a konie napasły się do syta.

Pozabijaliśmy barany, kupione od farmerów okolicznych, i piekliśmy mięso. W tej części kolonii Przylądkowej jest mnóstwo baranów, których ogromne ogony ważą niekiedy siedem do ośmiu funtów. Grunt tak sprzyja hodowli, że niema tam wcale chudych owiec.

Nie mieliśmy chleba, a mąka została na wozie, który ugrzązł w bagnie. A że słyhać było wybuchy dynamitu, wiedzieliśmy już, że generałowi Fourie nie udało się uratować reszty taboru. Dowiedziałem się później, że generał, zaskoczony przez Anglików, nie miał czasu popalić wózków. Ale nieprzyjaciel spalił je sam, razem ze swojemi wózkami, które wprowadził do doliny i nie mógł ich wydobyć z błota.

Co za wspomnienie zostało nam z tej doliny Moddervlei!

Jednakże pożywiwszy się dobrą, afrykańską baraniną i przespawszy na siodłach pod głowę zamiast poduszek, odzyskaliśmy dobry humor.

Ludzie w moim oddziale byli prawdziwymi burge-

ram, gotowymi wszystko poświęcić dla ocalenia wolności i ojczyzny. Gdyby się ich spytać, czy nie pragną końca tych cierpień, odpowiedzieliby, że nie przeraża ich sto takich przepraw, jak w Moddervlei. Wolność cenili nad wszystko.

Jenerał Fourie musiał iść ku południowi. Przeszedł przez tor kolei w pobliżu De Aaru i połączył się ze mną w Petrusville.

Pozostawiwszy swój tabor w błocie Moddervlei, Anglicy musieli nas daleko okrażać. Dzięki temu mogliśmy trochę odpocząć, co naszym koniom zrobiło bardzo dobrze, poczem ruszyliśmy w kierunku Strijdenburga, przechodząc na zachód od Hoptownu.

Nazajutrz nieprzyjaciel był znów tuż za nami. Był jeszcze liczniejszy i posuwał się szybko. Przez większą część dnia moje wojska ucierały się z przednią strażą wojsk angielskich, które nas ściagały. Te utarczki ułatwiły cofanie się moim burgerom, idącym pieszo, i tym, których konie były wycieńczone.

Uciekałem się ciągle do tego samego sposobu, ażeby powstrzymać pochód nieprzyjaciela. W tych okolicach niema—mówiąc prawdę—gór, w które można by zapaść, lub zasłonić się przed strzałami nieprzyjacielskimi, ale spotykaliśmy po drodze pagórki, których szczyty polecałem zajmować burgerom, mającym lepsze konie. Gdy nieprzyjaciel zbliżał się i spostrzegał oddział dwustu lub trzystu burgerów, zatrzymywał się i ustawiał baterię dział, ażeby uprzatnać wzgórze, na którym widać było przeciwnika. Ale nasi, jak łatwo pojąć, unykali przed kanonadą, cofając się śpiesznie. Pomimo to Anglicy zasypywali wzgórze gradem bomb i kartaczów. Potem wysyłali jeźdźców dla zbadania gruntu, tracąc drogocenny czas na przekonanie się, czy wzgórze jest wolne. Moi ludzie korzystali z tej zwłoki, ratując ucieczką siebie i konie.

Czasami, jeżeli mieliśmy dobre stanowisko, przednia straż angielska, zwabiona w zasadzkę, dostawała się do niewoli, lub musiała uciekać pod gradem kul. Gdyby nie ta taktyka, moi burgerzy byliby wszyscy wpadli w ręce angielskie podczas tej wyprawy. Innego sposobu nie miałem. Wobec znacznych sił, jakimi rozporządzali Anglicy, niepodobna mi było próbować szczęścia w większej bitwie.

Te same wybiegi, często powtarzane, bądź to dla uniknięcia nieprzyjaciela, bądź dla zaskoczenia go, pozwoliły moim słabym oddziałom wymykać się licznym nieprzyjaciółom, krążącym po naszym kraju. Jeżeli udało mi się tak długo walczyć w ten sposób, niech czytelnik nie przypisuje tego mojej zasłudze. Była to tylko łaska Boga.

ROZDZIAŁ XXVI.

Noc, która nadchodzi w samą porę.

Komendant Hasebrock zatrzymał nieprzyjaciela przez ten czas, gdyśmy zdążali ku farmie Vrouwpan.

Nazajutrz doszliśmy do brzegów rzeki Brak, o dziesięć mil od miejsca, w którem wpada do rzeki Pomarańczowej, na wschód od Prieska. Skutkiem przyboru wody niepodobna było przebyć rzeki nawet wplaw; prądy i wiry byłyby porwały pływaków nawet najlepszych. Musieliśmy przystanąć.

Na dwie godziny przed zachodem słońca komendant Hasebrock przybył z wiadomością, że Anglicy nadchodzą. Ale dokąd uciekać? Na południowym brzegu po stronie nieprzyjacielskiej były otwar-

te pola i nie można było iść tamtędy, nie będąc widzianym. Trzeba było zawrócić ku północo-zachodowi, ażeby nieprzyjaciel nie wepchnął nas w rzekę. Tam narażaliśmy się wprawdzie na niebezpieczeństwo wpadnięcia na rzekę Pomarańczową, położoną o 10 mil dalej, lecz przynajmniej mogliśmy umknąć przed pogonią Anglików, dzięki wzgórkowi, który nas zasłaniał przed ich wzrokiem. Obchodząc wokoło to wzgórze, może nam się uda zniknąć im z oczu aż do nadejścia nocy, a wtedy moglibyśmy pójść wzdłuż rzeki Pomarańczowej i wpaść na tyły Anglików.

Byli oni zaledwie o dziesięć mil od nas i idąc spiesznie, mogli dojść przed zachodem słońca na szczyt wzgórza, które nas przed nimi zasłaniało i uwięzić nas między dwiema rzekami. Byłoby to naszą zgubą ostateczną. Położenie nie było dobre, ale ostatecznie ta jedyna droga nam pozostawała. Nie miałem czasu naradzić się z nikim. Przedstawiłem jednak swój plan prezydentowi Stejnowi. Odpowiedział mi bez wahania:

— Jenerale, słuchaj swojego natchnienia.

Plan mój był już ułożony, lecz miałem dla prezydenta tak wielki szacunek i stosunki nasze były zawsze tak dobre, że nie chciałem nic czynić bez zasięgnięcia jego rady, przytem jego rady zawsze miały dużą wartość.

Jozue niegdyś prosił Pana o przedłużenie dnia. My zaś przeciwnie, mogliśmy Mu tylko dziękować, że noc zapadła, zanim eklererzy angielscy doszli na szczyt wzgórza, zkad byliby spostrzegli naszą ucieczkę.

Słońce zaszło i odrazu zrobiła się noc czarna. To było naszym ocaleniem. W milczeniu cofnęliśmy się, a nazajutrz rano byliśmy już nietylko po za obrębem wzroku nieprzyjaciela, ale nawet o osiem lub dziesięć mil na jego tyłach. Anglicy posuwali się ciągle naprzód, mając nadzieję zamknąć nas pomiędzy dwiema rzekami.

W tym celu wojska angielskie zostały wzmocnione o kilka tysięcy ludzi i widoczne było bardziej niż kiedykolwiek, że dowódcy poprzysięgli sobie pochwycić prezydenta Stejna i mnie. I mieli słuszność, bo gdybyśmy byli mogli działać dalej w Kolonii Przylądkowej, pewny jestem, że trudności rozmaitej natury byłyby z tego dla nich wynikiły.

Ale co teraz mogliśmy uczynić? Powracać znów i raz jeszcze wyprzedzić nieprzyjacielskie oddziały? Było to niepodobieństwem w tym stanie wyczerpania, w jakim znajdowali się nasi ludzie i konie. Iść wzdłuż rzeki Pomarańczowej, przeprowić się przez nią i powrócić do Wolnego Państwa Orańskiego? Było to zniweczeniem całego projektu, który nas już kosztował miesiąc uciążliwych marszów. Trzeba mi było jednak zdobyć się na najjużniej szkodliwy środek ratunku: postanowiłem przeprowić się przez rzekę, zanim Anglicy odnajdą nasze ślady.

Dnia 20-go lutego ruszyliśmy z biegiem rzeki Pomarańczowej w poszukiwaniu brodu. Woda opadała wszędzie, ale brodu nie było. Musieliśmy iść dalej w nadziei, że go znajdziemy powyżej miejsca, w którym rzeka Vaal wpada do Pomarańczowej; ale i to nas zawiodło. Na domiar nieszczęścia Anglicy popalili wszystkie statki, jakie były na rzece. Powiedziano mi, że jest jeszcze jeden o sześć mil dalej. Poszliśmy tam i zastaliśmy tylko czółno, lecz mogło się w niem pomieścić dziesięciu do dwunastu ludzi. Nie zwlekając ani chwili, zacząłem przeprować w niem burgerów i wieczorem 22-go lutego dwustu pięćdziesięciu tych, którzy nie mieli koni, było już na drugim brzegu rzeki. Kilku chciało przepłynąć w pław i jeden z nich, burger van der Derwe, utonął. Inni przepłynęli w czółnie, prowadząc za sobą w pław konie.

Dnia 23-go lutego rankiem otrzymałem wiado-

mość o zbliżaniu się Anglików. Nie spodziewałem się ich tak prędko i musieli iść forsownie przez całą noc. Burgerzy posiadali na koń, ażeby ruszyć w górę rzeki, a tymczasem nieprzyjaciel zaczął już ostrzeliwać nasze tylne strażę. Ale Anglików było dużo i tylna straż musiała się cofnąć i połączyć z nami.

Na szczęście okolica była górzysta i przez dwa dni mogliśmy się kryć przed wzrokiem nieprzyjaciela, mimo to Anglicy dogonili nas, podczas gdy odpoczywaliśmy. Musieliśmy zostawić dwa działa: jedno Maxima, drugie Nordenfelta z powodu zupełnego wycieńczenia zaprzęgu. I nie mieliśmy nawet dynamitu, ażeby je zniszczyć! Zresztą, niewiele na tem zależało, ponieważ Anglicy byli już dobrze zaopatrzeni w narzędzia wojenne, nasz więc mimowolny podarunek niewiele dla nich znaczył. Co stanowiły dwie armaty, dorzucone do czterystu, które ten potężny kraj wyprowadził w pole przeciw nielicznemu narodowi, stojącemu z bronią w rękę tylko w obronie swoich praw i wolności? Pomimo to serce mi się ścisnęło, gdym porzucał tych starych przyjaciół, tem więcej, że był to 23 luty — czterdziesta siódma rocznica niepodległości Wolnego Państwa. W szczęśliwych czasach święciliśmy ten dzień w gronie przyjaciół, strzelając z dział. I te działa, które grzmiały dla uczczenia święta narodowego ¹⁾, te działa, które były świadkiem tylu zaszczytnych bitew, stały teraz oniemiałe, a może nawet przez okrutne szuderstwo losu miały się zwrócić przeciw nam?

Nikt lepiej nie zrozumie wzruszenia, jakie miało mojem sercem, gdy ci Anglicy, którzy trzymają stronę Boerów, gdyż oni potępiają postępowanie swojego narodu, stojąc po stronie sprawiedliwości,

¹⁾ Mieliśmy jeszcze dwa działa Kruppa, ale nie mieliśmy już do nich naboju.

nie dlatego, ażeby mieli być przeciwni rządowi i polityce angielskiej, ale ponieważ sumienie ich narzuca im przekonania, których nie chcą taić.

Oprócz tego jestem pewny, że Anglia kiedyś odda nam sprawiedliwość, uwzględniając wierność i uległość mieszkańców obu swych nowych kolonii. Nie było jeszcze przykładu, ażeby ojciec nie miał litości dla syna, który zachowuje się względem niego z szacunkiem.

Powitaliśmy z radością zapadającą noc. Położenie nasze było krytyczne. Eklererzy donieśli mi, że nieprzyjaciel otacza nas ze wszystkich stron; był o cztery mile przed nami i o dwie mile na lewo. Nasza tylna straż, jak wspominałem, zetknęła się już z nim, a na prawo mieliśmy rzekę, weźbraną skutkiem deszczów.

Noc pozwoliła nam wyrwać się z objęć Anglików. Przyszło mi na myśl obejść nieprzyjaciela, który był przed nami, lecz chcąc wykonać ten zamiar, moje wojsko musiałoby iść całą noc, ażeby przede dniem przejść linię kolei. Inaczej narażalibyśmy się na to, że rankiem będziemy mieli na karku armię nieprzyjacielską, a przed sobą opancerzony pociąg.

Na nieszczęście, nie mogłem myśleć o takim pochodzie ze względu na burgerów, nie mających koni, a z drugiej strony nie mogłem zgodzić się na oddanie w ręce nieprzyjaciela tych wiernych towarzyszy.

Ostatecznie powziąłem taką decyzję: burgerzy bez koni dojdą poprzeczną drogą do rzeki Pomarańczowej, która płynęła o cztery lub pięć mil od nas; gdy dzień nadejdzie, ukryją się po lasach, ażeby nieprzyjaciel ich minął. Potem pójdą wzdłuż rzeki, którą przepłyną na czółnach. Będą usiłovali rozproszyć się o ile możności podczas tego manewru.

Tak też się stało. Nieszczęśliwi burgerzy

przebyli już osiemnaście mil w ciągu tego pamiętnego i bolesnego dnia. Przeszli jeszcze cztery, czy pięć mil, zanim mogli odpocząć nad brzegiem rzeki. W końcu udało im się nazajutrz rano pod dowództwem mężnego i wiernego komendanta Hasbrocka wyjść cało z niebezpieczeństwa.

Co zaś się tyczy mojej konnicy, to ta po kilku godzinach wypoczynku, ruszyła w pochód i nazajutrz rano przybyła na południe od Hopetownu. O ósmej przebyliśmy plant kolei, którego jeszcze wówczas nie strzegły blokhaury. Nie zatrzymaliśmy się aż o dziesięć mil dalej.

Nie jedliśmy nic od poprzedniego dnia rano, to też mieliśmy apetyt taki, że bylibyśmy „pozarli główki od gwoździ,” jak mówi nasze przysłowie. Jakaż była radość, gdy zdobyliśmy barany! Zostały one zabite i upieczone w jednej chwili, a zjedzone w mgnieniu oka.

W południe ruszyliśmy dalej, chcąc się dostać do rzeki Pomarańczowej.

Myśleliśmy, że przybywszy tam, będziemy mogli przebyć ją, bo woda musiała opaść. Wielki był nasz zawód, gdy zobaczyliśmy, że woda jeszcze przybrała, zapewne skutkiem ostatnich deszczów. Nie można było myśleć o przejściu.

Dano nam znać, że Anglicy się zbliżają; chcąc ich dojrzeć, musieliśmy posługiwać się lunetami. Byliśmy od nich oddaleni o piętnaście lub szesnaście mil. Ale z drugiej strony sześciu moich ludzi musiało zsiąść z wycieńczonych koni i iść pieszo.

Zwróciliśmy się ku Limoensdrift. Ci, którzy znali ten bród, nie wątpili, że można go będzie przebyć. Przybyliśmy tam nazajutrz. Rzeka była tak wezbrana, że trzeba było szukać przejścia jeszcze wyżej.

Ostatecznie doszliśmy do Zandrifitu, do tego brodu, gdzie przeprawialiśmy się przed siedemna-

stu dniami. Kazałem go zbadać dwom młodym burgerom, z których jeden, Dawid Heenop, był doskonałym pływakiem. Weszli do wody; wkrótce jednak zmuszeni byli płynąć, trzymając konie za cugle i parę razy o mało co nie utonęli. Gdy stanęli na przeciwległym brzegu, zawołałem, aby nie wracali. Nie mieli na sobie ani kawałka ubrania, gdyż musieli się rozebrać przed wejściem do wody. Zupełnie nadzy wsiedli na konie i pod palącymi promieniami słońca, jadąc trzy kwadranse, dojechali do farmy.

Postanowili udać się tam i prosić o jakiegokolwiek ubranie, choćby nawet kobiece, bo mężczyźni byli na wojnie. Zaczęli wołać z odległości. Ułotowano się szczęściem nad nimi i zamiast spódnic dostali spodnie męskie i koszule, które jakaś dzielna kobieta wysłała im przez małego chłopczyka.

A tymczasem, gdy szukaliśmy brodu, nieprzyjaciel zbliżył się znacznie.

Wtedy połączył się z nami sędzia Hertzog, idący na czele swoich oddziałów od południo-zachodu, a po nim generał Fourie.

Następnego nocy szliśmy czternaście mil i przeprawiliśmy się przez rzekę Zeekoe niedaleko od farmy, którą opuściło dwudziestu angielskich eklererów.

O cztery, czy pięć mil dalej zapomnieliśmy zupełnie o tych dwudziestu Anglikach.

Noc była ciemna. Żaden eklerer nie prowadził naszego pochodu. Byłem na czele kolumny, jak zwykle, razem z moim sztabem. Wjeżdżaliśmy na wzgórze; przybywszy na szczyt, zobaczyłem kilku ludzi, leżących na ziemi, a za nimi konie. Ludzie i konie zaledwie o dwadzieścia kroków leżeli od ścieżki, którą szliśmy. Myślałem, że to są moi burgerzy, którzy się wysunęli naprzód przez ten czas, kiedy czekałem na opóźnionych u stóp wzgó-

rza i że korzystając z czasu, zasnęli. Obudziłem ich.

— Dlaczego pozwalacie sobie tak się wysuwać naprzód?

Wszyscy zerwali się i zapytali po angielsku:

— *Who are you?* (Kto jesteś?).

— *Hands up!*—zawołałem.

Wszystkie ręce podniosły się w górę. Było ich siedmiu i należeli do małego oddziału dwudziestu eklererów, o których poprzednio wspominałem. Reszta o dwieście kroków dalej zaczęła do nas strzelać. Rozkazałem burgerom uderzyć ua nich. Ale gdy dobiegli do miejsca, z kąd padły strzały, nie zastali nikogo, gdyż Anglicy uciekli, a że księżyc zaszedł, pogoń byłaby daremna.

Szliśmy dalej, zatrzymawszy przy sobie do następnego dnia siedmiu jeńców. Odesłaliśmy ich w całkowitem ubraniu. Jeszcze wtedy nie potrzebowaliśmy żywić się, ubierać i zbroić kosztem Anglików.

O wschodzie słońca doszliśmy do poszukiwanego brodu. Czy uda się nam przejść? Wszyscy z niepokojem zadawali sobie to pytanie. Wiedzieliśmy, że raz dostawszy się na drugą stronę, nie będziemy już niepokojeni przez nieprzyjaciela. Przybywszy nad brzeg, kazałem wejść do wody dwom burgerom, którzy się rozebrali. Gdy konie weszły, woda sięgała im do zadów, ale w miarę, jak się posuwały dalej, dno podnosiło się i woda dochodziła tylko do kolan.

Nakoniec byliśmy uratowani! Mogliśmy powrócić do siebie, a choć wyprawa nie udała się, miałem przynajmniej to szczęście, że nie oddałem w ręce Anglików tej garstki wojska, jaka nam pozostała.

Wtedy zaczęli się tłoczyć ludzie, chcąc przeprawiać się wszyscy jednocześnie. Od brzegu do brzegu był na wodzie jeden tylko kłęb ludzi i koni.

Ze wszystkich piersi wyrwały się w tej chwili okrzyki radości, śpiewy i psalmy.

Słychać było, jak śpiewali:

— „Nie powrócimy tu już nigdy!”

— „Żegnaj Kolonio Przylądkowo!”

— „Dalej! do Wolnego Państwa!”

— „Chwalmy Pana!”

A wszystko na radosną nutę.

Zdołałem przeprowić przez bród kilka wózków i swój własny powozik. Jeden z wózków był zaprzężony w dwa osły. Opowiadano mi później, że w najgłębszym miejscu straciły grunt pod nogami i zaczęły płynąć.

Opowieść o tej nieudanej wyprawie do kraju Przylądkowego jest jednym ciągiem niepowodzeń i utrapień, na jakie nas narażali Anglicy, ścigający nas z zjadłością, i dziś trudno byłoby temu wierzyć, gdyby można zapomnieć o smutnym położeniu, w jakim byliśmy wtedy.

Potężna Anglia miała za przeciwnika dwa małe kraiki słabo zaludnione. Wywiodła przeciwko nim nie tylko żołnierzy angielskich, szkockich, irlandzkich, ochotników z Australii i z Nowej Zelandyi, z Kanady i z Afryki — ale wezwała jeszcze na pomoc naszych rodaków, którym nadała nazwę *National Scouts* — krajowi eklererzy.

Pomyślcie jeszcze, że wszystkie porty zostały dla nas zamknięte, skutkiem czego wszelki dowóz stał się niemożliwym.

Wtedy dopiero zrozumiecie, że w tych warunkach wojnę mogliśmy podtrzymywać tylko z pomocą Boską.

A jeszcze trzeba dodać, że gdyby Anglicy nie byli posługiwali się przeciw nam Kaframi i *National Scouts'ami* wynik walki, o ile można sądzić, byłby zgoła inny.

Ale teraz wszystko już skończone i można powiedzieć to tylko, że uczyniliśmy wszystko, co było

można, i że niepodobna wymagać od ludzi więcej, prócz spełnienia obowiązku. Niech nam wystarczy myśl, że—Bóg tak chciał. Niech imię Jego będzie błogosławione!

ROZDZIAŁ XXVII.

Czy Boerowie byli partyzantami?

Istnym cudem w trzy godziny zaledwie po naszej przeprawie przez rzekę woda zaczęła przybierać. Wepchnięci napowrót na nasze terytorium, mieliśmy przynajmniej to niespodziewane szczęście, że przez kilka dni nie byliśmy niepokojeni przez nieprzyjaciela. Nie spiesząc się, ruszyliśmy w pochód ku farmie Lubbeshoop.

Oddzieliłem generała Fourie, który miał, jak przedtem, działać na południo-wschodzie, a sędziego Hertzoga wyprawilem na południo-zachód. Byliśmy teraz zdania, że lepiej oddziały podzielić na mniejsze części. Nie była to chwila do staczania wielkich bitew, a rozdzielając nasze siły, zmuszaliśmy Anglików do pójścia za naszym przykładem.

Oddziały podzielono w taki sposób:

I. Burgerzy z Kronstadu zostali oddani pod rozkazy komendantów: F. de Vosa, Jana Celliersa i Maree; burgerzy z Heilbronu pod dowództwo F. E. Mentza, L. Steenekampa i van der Merre'a, na ich czele stanął pomocnik naczelnego wodza, Johannes Hattingh.

II. Burgerzy z Vrede, z komendantami Rossem i Manie Bothą; burgerzy z Harrisnithu z Ja-

nem Meyerem i Janem Jakobsem ¹⁾), pod dowództwem pomocnika naczelnego wodza Wessela Wesselsa.

III. Burgerzy z Winburga pod Hasebrockiem ²⁾ z Ladybrandu pod Koenim, z Ficksburga pod Stejnem ²⁾), z Betleemu z Michałem Prinslov, wszyscy pod dowództwem pomocnika naczelnego wodza C. C. Fronemana.

IV. Burgerzy z Boshofu pod dowództwem J. N. Jacobsa, P. P. Erasmusa i H. Theunissena, z Hoopstadu z Jakóbem Théronem (z Winburga) i z A. J. Besterem (z Brandfordu), wszyscy pod rozkazami C. C. J. Badenhoosta, pomocnika wodza naczelnego.

V. Burgerzy z Philippolis—komendant Munick Hertzog, z Fauresmithu—komendant Karol Nieuwomodt, z Jakobsdalu — komendant Henryk Pretorius, z Petrusberga—komendant van den Berg. Te sekcyje były pod rozkazami sędziego Hertzoga, pomocnika wodza naczelnego, który miał prócz tego i ludzi z zachodniej strony Bloemfonteinu.

VI. Burgerzy z Bloemfonteinu (strona południowa) — komendant Ackerman i Willem Kolbe, z Thaba'Nchu — komendant J. T. Stejn, z Bethulii i Smithfieldu — pod Gedeonem Joubertem, z Rouxville — pod Fryderykiem Reedersem, z Wepeneru — pod K. Coetzem, a wszystkie te sekcyje pod rozkazami pomocnika naczelnego wodza Pieta Fourie, którego później zastąpił Jerzy Brand.

Wkrótce potem oddział generała Fronemana został podzielony na dwie części: część złożona z burgerów z Betleemu i z Ficksburga poszła pod rozkazy Michała Prinslov, pierwszego pomocnika wodza

¹⁾ Jana Jakobsa po wzięciu dymisji zastąpił Franz Jakobs.

²⁾ Gdy wziął dymisję zastąpił go veldkornet J. J. van Niekerk

naczelnego, reszta burgerów z Betleemu dostała trzech dowódców: Oliwiera, Rautenbacha i Bruwera.

Dzięki temu nowemu podziałowi naszych sił, udało nam się uniknąć wielkich bitew i staczać drobne utarczki, które dręczyły i rozpraszały siły nieprzyjaciela. Mogliśmy też zabierać więcej jeńców.

Na nieszczęście, nie mogliśmy ich zatrzymywać; nie mieliśmy na swoje rozkazy ani Świętej Heleny, ani Ceylonu, ani wysp Bermudzkich. Skutkiem tego jeńcy, których zabieraliśmy Anglikom, wymykali się nam z łatwością, gdy tymczasem każdy burger, wzięty do niewoli, stanowił ważną jednostkę oderwaną od naszych, i tak nielicznych sił.

Od czasu gdy zaczęliśmy prowadzić wojnę, podzieleni na drobne oddziały, nieprzyjaciel wynajdywał dla nas coraz inne nazwy. Kiedy lord Roberts ogłosił 24 maja 1900 roku przyłączenie Wolnego Państwa Orańskiego, a następnie Transwaalu do korony wielkobrytańskiej, nazwał nas—ponieważ opór trwał dalej—*buntownikami*. Nazywano nas również *Sniping bands*¹⁾, albo *Rozbójnikami*, wymyślono też nazwę *bandy partyzantów*. Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego Anglia przywłaszczyła sobie prawo nazywania nas „bandami partyzantów.” Nie posługiwała się jednak tem wyrażeniem podczas układów o pokój, kiedy uznawała nasz rząd i zwracała się do niego, nadając mu ten tytuł.

Pozwólcie mi, czytelnicy, na parę uwag co do wyrazu „partyzant.”

Przypuśćmy, że Anglia zdobyła Nowy-York, Berlin, Paryż lub Amsterdam, albo jakąkolwiek inną stolicę wolnego i niepodległego państwa, którego rząd stawiałby dalej opór. Czy dałoby to Anglii

) Oddziały rozdrobnione.

prawo mówienia o *partyzantach*? Zróbmy jeszcze jedno porównanie. Przypuśćmy, że stolica Anglii została zdobyta przez inny naród, czy możnaby uważać w takim razie Anglię jako zaanektowaną przez nieprzyjaciela, który zagarnął tylko stolicę, jeżeliby rząd kraju istniał w dalszym ciągu—i czy w takim razie wymówionoby wyraz: „partyzanci?” Niezawodnie nie. Jedyny wypadek, w jakim wolno jest posługiwać się tem wyrażeniem, zachodzi wtedy, kiedy nie tylko stolica jest w ręku nieprzyjaciela, ale zwycięstwo jest tak zupełne, że cały kraj jest już w jego mocy. Ale u nas nie było tego wypadku: czy byliśmy w mocy Anglików po bitwie pod Lindley, gdzie wzięliśmy do niewoli całą „Yeomanry”, po Roodewalu, Dewetsdorpie, Vlaktefonteinie, po utarczkach takich, jak z pułkiem „Brabant’s Herse” w Tafelkopie, po Tweefontein i licznych potyczkach zwyciężkach, stoczonych w Transwaalu już po tem rzekomem „przyłączeniu?” I zapytuję także, czy to banda partyzantów pod wodzą de la Reya zaskoczyła lorda Methuena i wzięła go do niewoli?

Nie trzeba igrać słowami; my, burgerzy, byliśmy, obywatelami broniącymi mężnie swej ojczyzny, nie rozbójnikami, ani awanturnikami. Chyba, że w Anglii zmienia się znaczenie słów stosownie do okoliczności.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Układv z Anglikami.—Bitwa pod Graspan w pobliżu Reitz.

Prezydent Stejn zamierzał pozostać jakiś czas z naczelnym wodzem Hertzogiem. Ja ze swej strony, ponieważ ożywiona korespondencya odbywała się

między Ludwikiem Bothą, de la Reyem i naszym rządem, postanowiłem połączyć się z oddziałami na półnoey, ażeby nie być zbyt daleko od Transwaalu. W tej okolicy, o dwanaście mil na południe od Petrusberga, doszedł mnie list generała Bothy, zawiadamiający, że lord Kitchener zaproponował mi spotkanie koło połowy lutego, dla uczynienia propozycji pokojowych.

Botha wzywał mnie i prezydenta, ażebyśmy do niego przybyli dla uczestniczenia w układach. Prezydent Stejn przybył niezwłocznie.

Ja zaś uważałem, że nie trzeba tracić czasu, choćby nawet pokój był w powietrzu i wyruszyłem do Bothy z moim sztabem, kapitanem L. Wesselsem i jego pięciu ludźmi, ale z zamiarem niepróżnowania po drodze. Zużytkowałem noc 15 marca na założenie nabojuw dynamitowych pod plantem kolei o dziesięć mil na północ od Brandfortu. Byłem właśnie zajęty tą robotą, gdy nadjechał pociąg i przeszkodził nam. Szedł tak wolno, że można go było wziąć za pociąg rekonesansowy. Ponieważ robota nie była jeszcze skończona, cofnęliśmy się o sto kroków, ale Anglicy spostrzegli nas i dali ognia.

Pociąg poszedł; powróciliśmy na plant. Zaledwie stanęliśmy na nim, nadjechały dwa inne pociągi. Tym już trzeba było dać nauczkę, więc zaczęliśmy strzelać. W tej wyprawie tylko jeden z naszych został raniony.

Przybywszy do Senekalu, opuszczonego przez Anglików, zobaczyłem się tam pierwszy raz z doktorem Reichem i jego żoną. Przyjął nas serdecznie.

Doktor Reich nie należał do żadnego ambulansu wojskowego, ale czynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby przynieść ulgę rannym — zarówno naszym, jak i angielskim.

Z Senekalu pojechałem do oddziału heilbron-

skiego, a następnie do Vrede, gdzie przybyłem 24 marca.

Nazajutrz przyjechał do mnie Botha, któremu zaproponowałem tę wieś na miejsce spotkania.

Przedstawił mi rezultat swych negocjacji z lordem Kitchenerem. Rezultat był żaden.

Pomimo to, byłem uszczęśliwiony, że widzę naczelnego wodza wojsk transwaalskich. Mielśmy dużo do mówienia i żegnając się, wyraziliśmy silne postanowienie walczenia dalej.

27-go marca generał Botha powrócił do Transwaalu, a ja pojechałem do oddziału heilbronskiego. W kilka dni potem przybył z południa prezydent Stejn, ażeby się zjechać we Vrede z członkami rządu transwaalskiego. Po zobaczeniu się z nimi pojechał do osobnego, niewielkiego *laageru*. Postanowiono, że nie będzie już towarzyszył oddziałom. Dałem mu eskortę, złożoną z 50 burgerów pod rozkazami komendanta Davela.

Zaledwie powróciłem od generała Bothy, gdy skutkiem ważnego wypadku stała się konieczna moja obecność w Petrusbergu. Jechać tam i powracać do Heilbronu—była to podróż trzysta sześćdziesiąt milowa, a wyprawa ta nie nęciła mnie wcale. Ze jednak wymagał tego interes kraju, wyruszyłem 8-go kwietnia, zmęczony jeszcze wyprawą do Kraju Przylądkowego. Po drodze sztab mój zabrał posterunek angielski we Vredefortcie, złożony z szesnastu ludzi. Jeden Anglik poległ, dwóch było rannych. Ztamąd pojechałem do oddziału z Vredefortu i załatwiwszy co było potrzeba w Petrusbergu, powróciłem 17-go kwietnia, przebywszy bez wypadku linię kolei między Smaldeel i dworcem w Ventersbrugvey. Spotkawszy w powrocie komendanta Hasebrocka, dostałem się na koniec do oddziału heilbronskiego.

Anglicy spostrzegli, że pozmienialiśmy nasze oddziały, i że dzięki tej zmianie mogliśmy na całej

przestrzeni Wolnego Państwa Orańskiego przeciwstawić ich siłom nasze oddziały. Od tej chwili nie znali już miary w prześladowaniach i w okolicach północnych i północno-zachodnich kraju nie oszczędzili ani jednej osady. Wszystkie kobiety, które się dały zabrać, odsyłali do obozów koncentracyjnych.

Jak się tam z nimi obchodzono!

Nie chcę tego opisywać, bo opowiadałm tylko historię moich własnych działań, a tak bolesne zdarzenia wymagają pióra wprawniejszego, niż moje; nadmienię tylko, że obejście się z kobietami było haniebne, i że dużo Anglia będzie musiała dla nas uczynić, ażeby zatrzeć w sercu narodu wspomnienie tych ohydnych obozowisk.

Zima nadchodziła, zwiększając naszą nędzę. Jakie mieliśmy zapasy? Zboże, chleb i mięso. O kawie i cukrze pozostało już oddawna tylko wspomnienie, z wyjątkiem szczęśliwych dni, kiedy nam wpadały w ręce obfite zapasy angielskie. Prawda, że korzenie pewnego gatunku drzewa, dość obficie rosnącego w okolicach Boshofu, utłuczone i zmacerowane, dostarczały wzmacniającego napoju. Na nieszczęście drzewo to nie wszędzie rośnie, a gdy go nie było, musieliśmy przyrządzać sobie odwar z suszonych brzoskwiń, z kartofli, ze zboża. Ja osobiście nie użalałem się na to. Ulubiony mój napój, woda, był wszędzie w obfitości.

Oprócz nędzy naszej pod względem pożywienia, cierpieliśmy brak ubrania. Trzeba było dokazywać cudów zręczności przy naprawianiu kurtek i spodni. Najczęściej naszywaliśmy na dziurach łaty ze skóry, garbowanej przez starców i chorych. Ale nieprzyjaciel odkrył wkrótce ten przemysł — bardzo pierwotny — i zniszczył kadzie ze skórami, ażeby nas zmusić do chodzenia boso, bez ubrania, jak żebracy, i to we własnym naszym kraju, w kraju naszych ojców!

Anglicy nic nie zyskali na tem barbarzyństwie, bo ilekroć burgerzy wzięli jeńców, rozbierali ich od stóp do głowy i odnawiali tym sposobem własną garderobę. Był to tylko wymiar sprawiedliwości, ponieważ Anglicy rabowali nasze farmy i zabierali ubrania, które właściciele tam pozostawiali. Płaciłszy im—jak się to mówi—tą samą monetą.

Pod koniec maja przeszedłem przez plant kolei, jadąc do Paryża i Vredefortu. Chciałem się naradzić z jenerałem de la Reyem nad planem rozrzucenia po Kraju Przyładkowym drobnych oddziałków, bardzo ruchliwych, zręcznych do niepokojenia nieprzyjaciela, i unikania go, kiedy się pojawi w zbyt wielkiej sile. Był to, mojem zdaniem, bardzo praktyczny sposób dla rozpraszania sił angielskich.

Ale po przybyciu do Vredefortu otrzymałem wezwanie od prezydenta Stejna, który pragnął widzieć się ze mną. Posłałem list do de la Reya, prosząc, ażeby przyjechał do mnie z sędzią Hertzo-giem i z prezydentem. Jenerał de la Rey przybył pierwszy. Kiedyśmy już wszyscy się zebrali, odczytano nam list od pana Reitza, sekretarza Rzeczypospolitej Transwaalskiej do Rządu Wolnego Państwa Orańskiego:

„Biuro rządowe w okręgu Ermeloo
w Rzeczypospolitej Południowo - Afrykańskiej.

10 maja 1900.

„Do sekretarza Rządu Wolnego Państwa
Orańskiego.

„Szanowny Panie!

„Mam zaszczyt podać do wiadomości, że rząd nasz odbył dziś naradę z następującymi oficerami:

z naczelnym wodzem, generałem B. Viljoenem i generałem J. C. Smutsem (prokuratorem generalnym), który reprezentował zachodnie strony kraju. Obecne położenie zostało sumiennie zbadane i ujawniono następujące fakty:

„I. Drobne oddziały burgerów poddają się bezustannie nieprzyjacielowi, co naraża na niebezpieczeństwo naszą sprawę i zagraża członkom rządu i oficerom, że mogą zostać opuszczeni przez swoich ludzi. Fakta te powiększają odpowiedzialność członków rządu i oficerów, przedstawicieli narodu.

„II. Nasze zapasy amunicji są tak wyczerpane, że niepodobna nam myśleć o stoczeniu większej bitwy. Ten brak będzie nas zmuszał do ciągłego, beznadziejnego uciekania przed nieprzyjacielem. Skutkiem tego niepodobna nam będzie bronić ludzi i ich mienia, co ich doprowadzać będzie do coraz większej nędzy i rozpacz i uniemożliwi nam zaopatrywanie w żywność oddziałów będących pod bronią.

„III. Fakty te osłabiają coraz więcej powagę rządu i nasuwają obawę, ażeby naród, tracąc poszanowanie dla swoich legalnych przedstawicieli, nie popadł w rozterki i anarchię, i nie nabrał przekonania, że w kraju nie istnieje żadna władza, oprócz władzy nieprzyjacielskiej.

„IV. To wszystko prowadzi nietylko do rozprężenia w narodzie, ale nie można wątpić, że wywoła nieufność względem przywódców, których wpływ osobisty jedynie zdołał utrzymać w spójni zebranych ludzi. Narażamy się w ten sposób na zatracenie w przyszłości wszelkiego poczucia patryotycznego.

„V. Naród wymaga odpowiedzi wyraźnej na zapytanie, czy walka może być prowadzona dalej z nadzieją jakiegokolwiek powodzenia. Jeżeli rządowi i wodzom zdaje się, że takich widoków już

niema, naród powinien dowiedzieć się o tem bez ogródek.

„Do tej pory i rząd i naród wierzył, że starania delegacyi naszej, lub zawikłania stosunków europejskich mogą ożywić nasze nadzieje; rząd jest tego zdania, że zanim uczyni krok stanowczy, musi mieć pewność co do tego punktu.

„Zważywszy te fakty rząd, po naradzie z wyżej wymienionymi oficerami, postanowił, co następuje:

„I. Dziś jeszcze wyprawiony zostanie do lorda Kitchenera list z żądaniem upoważnienia do wysłania agentów dyplomatycznych do Europy, którzyby objaśnili prezydenta Krügera o położeniu kraju; wysłańcy ci powrócą do Transwaalu natychmiast po spełnieniu misyi.

„II. Jeżeli prośba ta zostanie odrzucona, lub krok ten nie doprowadzi do żadnych rezultatów, zażądamy zawieszenia broni, które nam pozwoli, razem z waszym rządem, zapytać o zdanie obu narodów i powziąć ostateczne postanowienie. W tem postanowieniu uwzględnione będą propozycje, które wasz rząd zechce nam uczynić, dowiedziawszy się o faktach wyżej wzmiankowanych.”

„Rząd wogóle jest zdania, że nie należy wojny prowadzić z zaślepieniem, i że trzeba zdobyć się na jakieś postanowienie. Spodziewa się otrzymać od rządu Wolnego Państwa Orańskiego natychmiastową odpowiedź.

„Mam zaszczyt i t. d.

F. W. Reitz,

Sekretarz rządu transwaalskiego.

Żałuję, że mi zginęła odpowiedź prezydenta Stejna na ten list, razem z wielu innymi dokumentami. Mogę jednak podać tu jej treść, której udzielił mi pastor J. D. Kestell.

Prezydent Stejn ubolewał nad treścią odezwy rządu Transwaalskiego. Tłómaczył, że w Wolnem Państwie Orańskim—choć część burgerów złożyła broń—nikt tego nie brał do serca. Przyznawał, że zaczyna brakować amunicyi, ale dodał, że przy każdej utarczce tyle się jej zabiera Anglikom, iż można z nią iść na nową potyczkę. Dziwił się, że można teraz zapytywać, jaki będzie koniec walki, kiedy nikt o tem nie pomyślał na początku wojny? Wnosił, że gdyby sprawa wolności obu rzeczypospolitych gorzej stała w Europie, delegacya Niemieszkałaby go o tem zawiadomić. Z drugiej strony prezydent twierdził, że obywatele Oranje, stojący jeszcze pod bronią, odmówiliby złożenia jej, nawet w razie otrzymania amnestyi. Nie pochwaład również zamiaru proszenia lorda Kitchenera o pozwolenie wysłania do Europy ajenta dyplomatycznego, i wyrażał żal, że podobny zamiar mógł zostać powzięty bez naradzenia się poprzednio z rządem Orańskim.

Nasz prezydent dodał, że odstąpienie przez żołnierzy nie grozi bynajmniej oficerom w państwie Orańskim. Uważał też za prawdziwe nieszczęście, ażeby Wolne Państwo Orańskie, które naraziło swoje mienie i swoich obywateli dla podtrzymania Transwaalu, mogło być przezeń opuszczone w chwili, gdy wojna przybiera szczególnie groźny obrót. Opuszczenie to zniszczyłoby niezawodnie zaufanie, które dotąd żywiły dla siebie wzajemnie oba narody, i naraziłoby dalsze losy afrykandrów.

Przytoczywszy kilka artykułów, interesujących się naszą sprawą dzienników, prezydent Stejn dodał na zakończenie:

„Bracia Transwaalczycy! Gdybyśmy się poddali, bylibyśmy mordercami własnego narodu! Dopomagajcie nam bez słabości. Nie pozwólcie, ażeby się zmarnowały bohaterskie czyny, dokonane w czasie tej wojny, i nasza ufność, położona w Bo-

gu, którą odziedziczyliśmy po ojcach i ojcach naszych ojców, od kolebki naszego narodowego istnienia”.

Postanowiliśmy udać się prosto do Transwaalu, ażeby naradzić się ustnie nad temi ważnemi sprawami. Wieczorem, 5 czerwca, wyruszyliśmy z Liebenbergsvlei do Verkijkersdorp. Zebrałem sztab i część eskorty prezydenta Stejna, sztab generała de la Reya i ośmiu ludzi z mojego sztabu. Było nas wszystkich sześćdziesięciu do siedemdziesięciu.

Nazajutrz rano o pół do dziewiątej, po wschodzie słońca, przybył burger z wiadomością, że cały *laager* kobiet wpadł w ręce nieprzyjaciela ¹⁾.

Iść im na pomoc nie śmiałem. Bo nasze konie miały przed sobą daleką drogę aż do Transwaalu. Prócz tego było nas mało. Pomimo to, usłuchawszy rady de la Reya, zdecydowałem się biedz na ratunek kobietom. I gdy prezydent pozostał nieco w tyle, rzuciliśmy się z de la Reyem i komendantem Davelem w pogoń za najeźdźcami:

Nieprzyjaciel zawiódł cały *laager* na szczyt pagórka, w pobliżu kraalu kafrów, zbudowanego z darniny, a złożonego z czterech lub pięciu budowli.

Anglicy, skoro nas spostrzegli, pokładli się za wozami, zmuszając kobiety do pozostania w stojącej postawie poza szeregami żołnierzy, w taki sposób, że te nieszczęśliwe były narażone na śmierć z naszej ręki, gdybyśmy celowali trochę za wysoko. Widziały nas, stojących na otwartem polu, wystawionych na strzały Anglików, i zrozumiały, że za najmniejszą niezręcznością zginą z ręki burgerów,

¹⁾ Doniesiono nam poprzedniego dnia wieczorem, że dwa korpusy armii angielskiej są nad rzeką Wilge. Generał Elliot, Piet de Wet i inni zdrajcy służyli im za przewodników. Niechaj ich imię będzie przeklęte!

może własnych mężów lub braci. Przerazone, z rozpuszczonemi włosami, krzyczące z trwogi i wściekłości, dawały nam rozpaczliwe znaki, a nieubłagane placówki angielskie trzymały je poza linią strzelców, jako tarczę żywą i drogą naszym sercom, a oddaną na pastwę naszych kul.

Nie można było wahać się; należało strzelać tylko napewno. Nakazałem rzucić się na nieprzyjaciela w szalonym galopie. O czterdzieści kroków przyjął nas straszliwy ogień: uniknęliśmy kul, schylając się na karki wspinających się koni. Ale z tej odległości byliśmy już pewni strzału. Gwizdnęło czterdzieści kul, które zdziesiątkowały Anglików, nie drasnawszy żadnej z kobiet.

Anglicy uciekli, zostawiwszy kobiety i wózki, i schronili się do kraalu, z którego zrobili sobie strzelnicę. Nie łatwo nam było dosięgnąć ich tam, bo byli dobrze osłonięci, gdy my tymczasem byliśmy wystawieni na ich strzały. W tej drugiej części ataku byliśmy mniej szczęśliwi i straciliśmy jedenastu burgerów, pomiędzy którymi był kapitan Thijnsma. Prócz tego mieliśmy siedmiu rannych, a między nimi porucznika H. Howella. W samym laagerze poległ jeden tylko chłopczyk trzynastoletni.

Podczas gdyśmy trzymali Anglików w kraalu, kobiety zdążyły uciec z wózkami. Wozy potoczyły się ciężko pomiędzy trupami Anglików, których było przeszło osiemdziesięciu.

— Uciekajcie!—wołałem do kobiet.—Nie czekajcie na nas, dopędzimy was w drodze!

Ale niebaczne schroniwszy się za mały pagórek, chciały widzieć koniec walki, i stało się to, co przewidywałem. Kolumna angielska, licząca tysiąc ludzi, przyszła z odsieczą oddziałkowi, zamkniętemu w kraalu. Zobaczywszy ją, kobiety uciekły; ale było już za późno i Anglicy zaczęli strzelać do wozów, ażeby je zatrzymać.

Bezsilny patrzyłem zdaleka na tę strzelaninę,

o której bolesnych następstwach nie dowiedziałem się nigdy. Bo po zawarciu pokoju nie mogłem zebrać dokładnych wiadomości o liczbie kobiet i dzieci, zamordowanych przez kule nieprzyjacielskie. Czy można tu użyć innego wyrażenia, jak „zamordowanych” wobec takiego czynu? Zachowam na zawsze wspomnienie tej strasznej sceny: *laager*, złożony z kobiet i dzieci, kartaczowany przez nieprzyjaciela, ścigany jak stado bydła, a potem schwytny i popędzony do koncentracyjnego obozu!

Z tego, co do nas należało, nie mogłem ocałować nic, prócz 1,500 sztuk bydła, które Anglicy daremnie zasypywali kulami z wielką zaciekłością. Zostało ono uprowadzone za mojem staraniem w miejsce bezpieczne.

Po tym nieszczęśliwym dniu usiłowaliśmy odszukać prezydenta Stejna, którego—jak mówiłem—pozostawiliśmy za sobą. Ale zapewne musiał uciekać w kierunku Lindleyu, o dwanaście mil od nas położonego, ażeby uniknąć spotkania z kolumną angielską, która poprzedniego dnia była przy Dumingsdrift.

Bolesny był ten pochód w smutny wieczór; bo nie mogliśmy znaleźć prezydenta; a potem noc jeszcze straszniejsza, pełna wspomnień upłynionego dnia, i tak okropnie zimno, że kostnieliśmy prawie. Na domiar nieszczęścia, konie, niosące nasze kołdry, poszły za prezydentem Steinem, a my, ażeby nie zmarznąć na ziemi stwardniałej od zimna, musieliśmy—upadając ze znużenia—iść dalej. A nie jedliśmy nic od rana. Dopiero o północy odszukanie prezydenta położyło koniec udręczeniom tego dnia.

ROZDZIAŁ XXIX.

Narada z rządem Transwaalskim. Prezydent Stejn
o mało co nie wpada w ręce Anglikow.

Następnego dnia od samego rana musieliśmy ruszyć w dalszą drogę do Transwaalu. A wahając się pomiędzy kierunkiem prostym na południe, lub na południo-wschód, doszliśmy do wsi Vrede. Tam komendant, Manie Botha, dał nam za przewodników kilku burgerów, znających okolicę, i ułatwił przejście przez plant kolejowy. Na drugi dzień po wyjściu z Vrede dostaliśmy się na północ od Volksrustu, gdzie z wielkiem niezadowoleniem zastaliśmy linię kolei strzeżoną przez posterunek, który, zobaczywszy nas, zaczął strzelać. Wystrzeżliwszy kilkakrotnie, postanowiliśmy cofnąć się i spróbować przejścia przez tor kolejowy w innym miejscu. Udało nam się, ale zaledwie ostatni nasi jeźdźcy ujechali trzydzieści kroków od plantu, dał się słyszeć straszny huk wybuchu. Relsy wylatywały w powietrze, rozrzucone na wszystkie strony wybuchem dynamitowym. Plant kolei musiał być w tem miejscu podminowany i któryś z naszych koni spowodował eksplozyę, uderzywszy kopytem o druty, założone wzdłuż toru.

Nakoniec czwartego dnia zjechaliśmy się z członkami rządu transwaalskiego. Rozpoczęły się rozprawy, wywołane listem, o którym wspominałem poprzednio, a który obudził we mnie tak wielki żal. Ale na szczęście, sprzymierzony z nami rząd postanowił prowadzić dalej walkę, zachęcony odpowiedzią, otrzymaną od deputacyi, i dwiema zwyciężkami potyczkami, w których odznaczyli się generał Kemp i komendant Muller.

Byliśmy przez dwa dni gośćmi transwaalskiego rządu i zobowiązaliśmy się wszyscy prowadzić dalej energicznie walkę, a dla uproszenia błogosławieństwa Bożego dla naszej sprawy, postanowiliśmy odprawić nabożeństwa dziękczynne i pokutne.

Po upływie tych dwóch dni odjechaliśmy pod opieką komendanta, Alberta van Standertona, który nas przeprowadził aż na drugą stronę kolei żelaznej Natal-Transwaal. Nasz przewodnik był nie tylko wiernym przyjacielem, ale i bardzo przyjemnym człowiekiem. Przeprowadziliśmy się przez rzekę bez przygód i pożegnaliśmy się z naszym miłym komendantem i jego burgerami.

Nasz oddział doszedł do fermy Zilverbank, nad brzegiem rzeki Waterval. Ztamąd nie potrzebowałem już przewodnika, bo okolica była mi dobrze znajoma. Mieszkałem niegdyś w tych stronach w roku 1882.

Nazajutrz, po śniadaniu, wyruszyliśmy w drogę, dążąc do fermy Hexrivier, gdzie odpoczęliśmy trochę. Tam miał się z nami rozstać generał de la Rey. Chciał przejść przez tor kolejowy pomiędzy dworcami w Vereeniging i w Megertonie. Była to najbliższa droga do jego oddziałów. Rozstaliśmy się bardzo serdecznie, wzruszeni myślą, że może już nie zobaczymy się na tej ziemi. Te kilka dni, przebyte razem, pozostawiły nam najmiłsze wspomnienie i byliśmy bardzo uszczęśliwieni powziętem przez nasz rząd postanowieniem prowadzenia dalej — pomimo wszystkiego — walki o niepodległość.

Przeprowadziłem się przez rzekę Vaal w Villiersdorp, gdzie zanocowałem. Miałem przyjemność spotkać tam komendanta Rossa i jego oddział.

Oddziały w tej chwili były porozpraszane: każdy działał w swoich własnych okolicach. Miałem zamiar odwiedzić je wszystkie po kolei.

W kilka dni później przybyłem do komendan-

ta Hasebrocka, który był ze swymi burgerami w Doornberg. Tam otrzymałem wiadomość od prezydenta Stejna, który mi donosił, że 11 lipca 1901 w Reitz omal że nie został wzięty przez Anglików. Zdołał uciec z kilkoma ludźmi swojej eskorty. Nieszczęściem, komendant Davel i wszyscy członkowie rządu, z wyjątkiem M. W. C. J. Brebnera, nieobecnego w te chwile, zostali przez nieprzyjaciela wzięci do niewoli.

Opuściwszy Doornberg, pojechałem do pomocnika naczelnego wodza, Hattingha, z oddziału Kroonstadzkiego, a następnie do prezydenta Stejna. Spotkałem się z nim 20 lipca, o dwanaście mil na zachód od Reitz. Co za radość dla mnie, gdy go zobaczyłem w dobrym zdrowiu i wolnego! A z drugiej strony, jaki żal mnie ogarnął na wspomnienie starych przyjaciół: generała A. P. Cronjego, członka Rady Wykonawczej, generała J. B. Wesselsa, T. Braina, sekretarza naszego rządu, komendanta Davela, Rocco de Villiersa, sekretarza Rady Wykonawczej, Gastona Fräsera, prywatnego sekretarza prezydenta; Mac-Hardyego, pomocnika sekretarza; Piotra Stejna, brata prezydenta i veldkorneta jego sztabu i wszystkich burgerów z jego eskorty! Smutno było pomyśleć, że tacy ludzie dostali się do niewoli wówczas, gdy byli tak potrzebni do dalszego prowadzenia wojny! Takie nieszczęścia nas spotykały, ale zwiększała jeszcze nasze zmartwienie wiadomość, że to ostatnie zawdzięczamy zdradzie. Burger z Wolnego Państwa Orańskiego, Steenekamp, poprowadził Anglików, ażeby im ułatwić ujęcie prezydenta i jego orszaku!

Trzeba było zastąpić członków rządu, zabranych przez Anglików. Prezydent wybrał generała C. H. Oliviera i M. J. C. Brebnera, na miejsce generała A. P. Cronjego i M. T. Braina. Johannes Théron został mianowany sekretarzem Rady Wykonawczej, B. J. du Plessis — sekretarzem prezy-

denta, który nadal postanowił mieć przy sobie tylko straż z trzydziestu burgerów. Kapitan H. van Niekerk został mianowany dowódcą tej straży.

ROZDZIAŁ XXX.

Ostatnia proklamacja Anglików.

Więcej niż kiedykolwiek kładłem nacisk w rozmowach z oficerami na niezmierną ważność niszczenia środków komunikacyjnych nieprzyjaciela. Najlepszym do tego sposobem było burzenie toru i wykolejanie pociągów. Wymyśliliśmy do tego przyrząd bardzo prosty: kładliśmy pod szyny luźną od karabina napełnioną dynamitem, wybuch następował pod naciskiem kół lokomotywy na szyny, i pociąg wylatywał w powietrze. Przykro było pomyśleć o liczbie ofiar zabitych przy każdym wybuchu, ale prawa wojny u narodów ucywilizowanych nie zabraniają używania takich środków.

Anglicy widząc swoje koleje zagrożone w ten sposób, zmuszeni byli obstawiać je tysiącami żołnierzy dla zabezpieczenia. Wkrótce odkryli naszą metodę postępowania, i patrole czuwały bezustannie nad torem kolejowym, szukając dynamitu założonego pod relsy. Często nie wiedzieliśmy nawet, że nieprzyjaciel odkrył naszą zasadzkę. Gdy widzieliśmy nadjeżdżający pociąg i mijający nas bez przypadku, było to dowodem, że nabój został usunięty. Podwoiło to naszą czujność, zaczęliśmy więc zakopywać naboje pod relsami, przykrywając je starannie i odnosząc daleko piasek wydobyty z plan-tu. Potem patrole nie mogły już znajdować naszych przyrządów; ale wkrótce liczba posterunków angielskich została powiększona trzykrotnie.

Lipiec upłynął nam w ten sposób. Co miał przynieść sierpień? Nasze oddziały nie miały odpoczynku, ani chwili wytchnienia.

W każdym spotkaniu nieprzyjaciel miał pięciu, dziesięciu, piętnastu, niekiedy nawet trzydziestu zabitych, rannych, lub wziętych do niewoli. Gdyby można było zapisywać te liczby, całość byłaby wcale pokaźna. Ale rodzaj wojny, jaką prowadziliśmy, uniemożliwiał prowadzenie statystycznego biura tego rodzaju. Składano mi wprawdzie raporty, ale trzymając je parę tygodni, musiałem przysyłać następnie innym oficerom, ażeby ich wtajemniczać w bieg wypadków. Następnie raporty te były niszczone. Zachowałem tylko część z samych początków wojny. Powierzyłem je przyjacielowi z prośbą o zakopanie ich celem ukrycia. Przyjaciel mój dostał się do niewoli i nie dowiedziałem się nigdy, co się stało z papierami. Mają one jednak pewną wartość i zasługują na ogłoszenie drukiem.

Byłem właśnie w owym czasie w farmie Blijdschop, między Heilbronem i Betleemem.

(Moi przyjaciele Anglicy, generałowie Knox, Elliot i Paget, pułkownicy Remington, Byng, Baker i wielu innych pamiętają niezawodnie tę miejscowość).

Dostałem tam proklamacyę, wydaną przez lorda Kitchenera d. 7 sierpnia 1901 r. Oto jej treść:

„Proklamacya Jego Ekscelencyi barona Kitchenera z Khartumu, głównodowodzącego wojskami Jego Królewskiej Mości w Afryce Południowej, zarządcy Transwaalu i t. d.

„Zważywszy, że była Rzeczpospolita Wolnego Państwa Orańskiego i Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska zostały przyłączone do posiadłości Jego Królewskiej Mości:

„Zważywszy, że wojska Jego Królewskiej Mości oddawna już zajęły stolice obu krajów i trzymają w swym ręku biura administracyjne i wszystkie urzędy publiczne tak w stolicach, jak i w znaczniejszych miastach, jako też i wszystkie linie kolejowe:

„Zważywszy, że większa część burgerów obu byłych Rzeczypospolitych, w liczbie 35,000 — nie licząc poległych w czasie wojny—znajduje się w niewoli, lub złożyła broń rządowi Jego Królewskiej Mości i żyje obecnie w zupełnym spokoju w wioskach lub obozach pod opieką wojsk Jego Królewskiej Mości:

„Zważywszy, że burgerzy, poddani byłych Rzeczypospolitych, którzy stoją jeszcze pod bronią i walczą z wojskami Jego Królewskiej Mości, są nie tylko w mniejszej liczbie, ale prawie zupełnie pozbawieni amunicji i dział; że nie mają prócz tego żadnej organizacyi wojskowej i skutkiem tego nie są w możności prowadzić regularnej wojny, ani stawiać oporu wojskom Jego Królewskiej mości w całym kraju:

„Zważywszy, że burgerzy, stojący pod bronią, jakkolwiek nie są w stanie stworzyć regularnego wojska, napadają ciągle posterunki i odosobnione oddziały wojsk Jego Królewskiej Mości, rabują i niszczą własność prywatną, burzą koleje żelazne i linie telegraficzne w afrykańskich posiadłościach Jego Królewskiej Mości:

„Zważywszy, że ich działalność przeszkadza przywróceniu spokoju w całym kraju, podniesieniu się rolnictwa i handlu;

„Zważywszy, że rząd Jego Królewskiej Mości postanowił położyć koniec takiemu stanowi rzeczy, który przedłuża tylko bezużyteczną walkę i rujnuje przeważną część ludności, pragnącej jedynie żyć w spokoju i zarabiać na chleb powszedni:

„Zważywszy, że sprawiedliwym jest przedsięwziąć jakieś środki przeciwko tym, którzy przedłużają opór, a szczególnie przeciw tym, którzy — posiadając jakąkolwiek władzę — odpowiedzialni są za obecny stan rzeczy, i podmawiają współobywateli do przedłużania bezużytecznego oporu przeciwko rządowi Jego Królewskiej Mości —

„Ja Horacy Herbert baron Kitchener z Khar-tumu, głównodowodzący wojskami Jego Królewskiej Mości w Afryce Południowej, i królewski komisarz postanowiłem i nakazuję, co następuje:

„Wszyscy komendanci, veldkorneci i przywódcy band zbrojnych, obywatele byłych Rzeczypospolitych, występujący z bronią w rękę przeciwko wojskom Jego Królewskiej Mości w koloniach rzeki Pomarańczowej i Transwaalu, lub w jakiegokolwiek innej posiadłości Południowo - Afrykańskiej Jego Królewskiej Mości, jak również członkowie rządu obu byłych Rzeczypospolitych zostaną wygnani na zawsze z Afryki Południowej, jeżeli nie złożą broni do dnia 15 września r. b. Koszta utrzymania ich rodzin pokryte zostaną ze sprzedaży ich dóbr ruchomych i nieruchomych.

Niech Bóg strzeże Króla!

Dan w Pretoryi, 7 sierpnia 1901 r.

„Podpisano: *Kitchener, generał.*

„najwyższy komisarz Afryki Południowej.”

Odpowiedziałem lordowi Kitchenerowi tylko kilka słów:

„Ekscelencyo!

„Zawiadamiam niniejszem, że otrzymałem odezwę, wydaną d. 7 sierpnia 1901 roku. Mogę upewnić w swoim i swoich oficerów imieniu, że mamy

jeden tylko cel, dla którego wzięliśmy się do broni— obronę naszej niepodległości. I o to walczyć będziemy do śmierci!”

Byłoby nierozsądkiem dać się zastraszyć tej proklamacji. Trzeba przyznać, że niewielkie zrobiła wrażenie w mojem otoczeniu. Moi oficerowie pamiętali o przysłowiu: „Kto straszy, niekoniecznie zabija,” i zastosowali je w tym wypadku.

Prezydent Stejn w odpowiedzi na proklamację lorda Kitchenera napisał do niego długi list, w którym objaśniał powody wojny i obecny stan rzeczy. Podaję ten list w całości.

„W obozie 15 sierpnia 1901.

„Do jego Ekscelencyi lorda Kitchenera i t. d.

„Ekscelencyo!

„Mam zaszczyt zawiadomić Waszą Ekscelencyę o otrzymaniu odezwy z d. 5 sierpnia i załączonej do niej proklamacji.

„Ton nienajbardziej przyjacielski tej odezwy ośmielił mnie do obszerniej na nią odpowiedzi.

Stwierdziłem, że Wasza Ekscelencya, zgodnie z mężami stanu swego stronnictwa, podaje za powód obecnej walki wypowiedzenie wojny przez Rzeczpospolitą Południowo - Afrykańską i najście terytorjum angielskiego.

„Zdaje mi się zbyt częstym przypominać, że w r. 1895, kiedy Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska zachowywała się spokojnie, ufając, że ma za sąsiada naród ucywilizowany, nastąpił z terytorjum angielskiego najazd na jej posiadłości. Wiadomo, że kiedy to szalone przedsięwzięcie, którego pomysł mógł powstać jedynie w źle zrównoważonym umyśle, zakończyło się zupełnem niepowodzeniem; kiedy organizator i jego towarzysze wpadli w ręce burgerów, rząd rzeczypospolitej Po-

łudniowo-Afrykańskiej, ufając poczuciu sprawiedliwości ludu angielskiego, wydał rządowi Jej Królewskiej Mości wszystkich jeńców, którzy według prawa międzynarodowego zasłużyli na karę śmierci.

„Zbytecznym jest także przypominać, że—kiedy bezstronni sędziowie skazali przywódców „wyprawy” na karę więzienia — najwinniejsi zostali uwolnieni przed końcem kary pod błahemi pozorami. Niepotrzeba też przypominać Waszej Ekscelencyi, że po zamianowaniu komisji, w celu zbadania źródła i powodów tego sławnego zajścia, komisja ta, zamiast przeprowadzić bezstronne śledztwo, zataiła znaczną liczbę zeznań świadków; że potem, kiedy taż komisja, pomimo wpływów, pochodzących z bardzo wysokich sfer, uznała winę organizatora najścia, pana C. Rhodesa, i złożyła parlamentowi odpowiedni raport, winnego bronił pan Chamberlain, członek tejże komisji, który obronę oparł na motywach przeciwnych tym, na jakie zgodził się w raporcie.

„Wasza Ekscelencyja musi przyznać, że Rzeczpospolita Południowo-Afrykańska, zgodnie z całym światem cywilizowanym, miała prawo wnosić, że wyprawa Jamesona, którą uważaliśmy zrazu za ułożoną bez wiedzy rządu Jej Królewskiej Mości, wiadoma była przynajmniej niektórym członkom tegoż rządu. Mogę jeszcze dodać, że do tego czasu odszkodowanie, przyrzeczone Rzeczypospolitej, nie zostało wypłacone i że nawet taż Rzeczpospolita była wciąż niepokoiona groźnemi telegramami, odnoszącemi się do różnych punktów, dotyczących jej spraw wewnętrznych. Prócz tego zewnętrzne wpływy działały dla zebrania podpisów na podaniach, wymieniających powody zażaleń zupełnie nieusprawiedliwionych, chcąc, żeby doszły one do wiadomości rządu Jej Królewskiej Mości i dały mu sposobność — od tak dawna poszukiwaną — wtrącenia się do wewnętrznej polityki Rzeczypospolitej.

„Przypuszczam, że te fakty wiadome są Waszej Ekszelencyi i zbytecznem byłoby rozwodzić się nad niemi.

„Chciałbym jednak zwrócić życzliwą uwagę Waszej Ekszelencyi na następujące fakty:

„W chwili podania ostatniej petycyi przekonałem się, że są ludzie, którzy pragnęli doprowadzić za jakąbądź cenę do wojny między Rzeczpospolitą a Anglią. Wtedy usiłowałem pośredniczyć i starałem się, używając całego swego wpływu, zapobiedz starciu.

„Radziłem nawet Transwaalowi ustąpić nie dlatego, ażeby uznawał, że słuszność jest po stronie Anglii, lecz tylko dla uniknięcia rozlewu krwi. Rząd Jej Królewskiej Mości stawał się coraz więcej wymagającym. Rzeczpospolita robiła ustępstwo za ustępstwem coraz większym wymaganiom Anglii aż do chwili, gdy rząd angielski zaproponował oddanie kwestyi prawa głosowania pod rozstrzygnięcie osobnej komisji. Na żądanie angielskiego ajenta dyplomatycznego w Pretoryi Rzeczpospolita przedstawiła projekt, idący dalej jeszcze, niż żądania Dostojnego Komisarza. Rząd Jej Królewskiej Mości odmówił jednak przyjęcia tej propozycji, stawiając nowe żądania, a gdy Rzeczpospolita oznajmiła, że gotowa jest zgodzić się na warunki, postawione przez Anglię, otrzymała odpowiedź, że Anglia, gardząc sprawiedliwością i ludzkością, postawi później nowe żądania. Było to już prawdziwe ultimatum, bo rozpoczęcie kroków wojennych odłożono do czasu, gdy wojska angielskie wylądują w Afryce Południowej.

„Rząd Wolnego Państwa Orańskiego usiłował w ostatniej jeszcze chwili zapobiedz wybuchowi wojny. Polecił Dostojnemu Komisarzowi zatelegrafować do rządu angielskiego z zapytaniem, jakie nowe żądania zamierza on jeszcze przedstawić Rzeczpospolitej. Ku wielkiemu żalowi, telegram ten nie został przesłany w całej rozciągłości. Odpo-

wiedź przyniosły wojska angielskie. Skoncentrowały się nie tylko na granicy Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej, ale i na granicy Wolnego Państwa Orańskiego, które jednakże do owej chwili pozostawało z rządem angielskim w stosunkach przyjacielskich.

„Kiedy Rzeczpospolita przekonała się, że celem, do jakiego dąży Anglia, nie jest wcale wynagrodzenie mniemanych krzywd, które zresztą, jak się przyznaje obecnie, nie istniały nigdy, ale poprostu wydarcie niepodległości naszemu krajowi, rząd nasz zażądał od rządu Waszej Ekscelencji cofnięcia wojsk, zgromadzonych nad naszą granicą i przedstawienia całego sporu trybunałowi rozjemczemu.

„Wszystko to działo się w trzy tygodnie po wydaniu ultimatum, a w miesiąc po otrzymaniu przez rząd Wolnego Państwa Orańskiego telegramu od Dostojnego Komisarza z wezwaniem do zachowania neutralności. Cel Anglików od tej chwili był wyraźny: chcieli zniweczyć Rzeczpospolitą Południowo-Afrykańską! Otóż rządowi Waszej Ekscelencji dobrze było wiadomo, że od r. 1889 byliśmy związani traktatem odpornym z Rzeczpospolitą Południowo-Afrykańską. W następstwie czego w tym dniu, gdy postanowiła ona bronić swej granicy przed zagrażającym nieprzyjacielem, byłem zmuszony uczynić krok najprzykrzejszy w swem życiu, zrywając węzły przyjaźni, łączące mnie z Wielką Brytanią, ażeby podążyć na pomoc siostrzanej Rzeczypospolitej, z którą związani byliśmy traktatem.

„Od początku wojny nabraliśmy przekonania, że oddawna rząd Waszej Ekscelencji postanowił wykreślić obie Rzeczypospolite z liczby narodów. Dowodzą tego nie tylko dokumety, które wpadły nam w ręce, a które stwierdzają, że od r. 1896, to jest od napadu Jamessona, rząd angielski był zdecydowany urządzić najazd na obie Rzeczypospolite, ale i wyznanie, uczynione świeżo przez lorda Lansdowna;

przyznał on, że istotnie już w 1899 r. naradzał się z lordem Wolseleyem, wówczas głównodowodzącym armią Jej Królewskiej Mości, nad wyborem chwili najodpowiedniejszej do zaatakowania obu Rzeczypospolitych. Wasza Ekscelencya przekona się z tego, że nie my pierwsi wzięliśmy się do broni i że ograniczyliśmy się tylko do odpychania miecza, zawieszono go nad naszymi głowami. Mieliśmy prawo bronić się — jedno z najświętszych praw przysługujących człowiekowi — i musieliśmy ratować swoje istnienie. I dlatego ośmielam się wierzyć, że mamy prawo zaufać sprawiedliwości Bożej.

„Stwierdziłem następnie, że Wasza Ekscelencya czyni aluzję do niemożliwości interwencji obcych mocarstw i sądzi, że przeciągamy walkę skutkiem tej nadziei.

„Jeżeli Wasza Ekscelencya zechce mi pozwolić, postaram się wyjaśnić nasz sposób b zapatrywania się na tę sprawę. Spodziewaliśmy się i spodziewamy zawsze, że poczucie sprawiedliwości, wrodzone cywilizowanemu światu, zaprotestuje przeciw zbrodni, której zamierza dopuścić się Anglia, niszcząc byt narodu. Ale po za tą nadzieją mieliśmy zawsze silne postanowienie uczynienia wszystkiego, co jest w naszej mocy, ażeby się bronić własnymi siłami, z pomocą Bożą; i to postanowienie ani na chwilę nie zostało zachwiane.

„Wasza Ekscelencya uważa, że nasza walka jest beznadziejna. Nie pojmuję, co mogło doprowadzić do podobnego wniosku. Porównajmy obecne nasze położenie z tem, jakie było przed rokiem, w chwili poddania się generała Prinslov. W onym czasie w Kraju Przylądkowym panował spokój i nie było tam ani jednego z naszych oddziałów. Wolne Państwo Orańskie było niemal całkowicie w waszej mocy z wyjątkiem okolicy, zajętej przez komendanta Hasebrocka. W Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej położenie było prawie takie samo: kraj był

zajęty przez wasze wojska, z wyjątkiem okolic, położonych za Boschweldem, a zajętych wówczas przez generałów Delareya i Bothę i ich oddziały.

„Jakież jest położenie w obecnej chwili?

„Kraj Przylądkowy zasypany naszymi oddziałami, które zajmują go na znacznej przestrzeni. Liczba ich powiększa się z każdym dniem, dzięki przybywaniu do nas ludzi, oburzonych niesprawiedliwością Anglii względem obu Rzeczypospolitych.

„Przyznaję, że Wasza Ekscelencya ma w swoich rękach stolicę Wolnego Państwa Orańskiego, linię kolei żelaznych i kilka wiosek za siecią kolejową, ale po za tem nic. W większej części wiosek są urzędnicy, mianowani przez nas dla wymiaru sprawiedliwości w naszym imieniu. Tam więc porządek podtrzymujemy my, nie Wasza Ekscelencya.

„W Transwaalu położenie jest takie samo. Sprawiedliwość wymierzają również urzędnicy, mianowani przez rząd transwaalski.

„Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że władza Waszej Ekscelencyi nie sięga po za promień Jej strzałów armatnich.

„Z punktu widzenia wojskowego nasza sprawa, pomimo przygniatającej masy armii nieprzyjacielskiej postąpiła naprzód w ciągu upłynionego roku i nie można jej uważać pod żadnym względem za zrozpaczoną.

„Co się tycze 35,000 ludzi, którzy — jak Wasza Ekscelencya twierdzi — dostali się do niewoli, nie chcę sprawdzać ich liczby. Muszę jednak zrobić uwagę, że oprócz burgerów, którzy dali się przekonać proklamacyom poprzednika Waszej Ekscelencyi, i tych, którzy — dzięki Bogu, nieliczni! — odstąpili od naszej sprawy i zdradzili swój kraj, większość jeńców składa się ze starców, kalek i dzieci, przemocą zebranych przez wojska angielskie z farm i zamkniętych wbrew woli w obozach. Twierdzenie Waszej Ekscelencyi, że osoby te znalazły tam schronienie

i spokój, nie jest naturalnie szczere. Mogę upewnić, że w rzeczywistości oprócz jeńców i dezertarów, większa część burgerów zdolnych do walki jest pod bronią. Co zaś się tycze tych nielicznych, którzy przechodzą do nieprzyjaciela, Wasza Ekscelencya wie równie dobrze, jak ja, że nie nas tylko jednych spotyka ta przeciwność. Historia uczy nas, że w każdej wojnie o niepodległość trzeba było liczyć się z temi żywiołami, i mamy przekonanie, że można doskonale prowadzić dalej wojnę bez nich.

„Kiedy Wasza Ekscelencya wspomina o 74,000 kobiet i dzieci, żywnionych w obozach koncentracyjnych, wie dobrze, w jak okrutny sposób osoby zupełnie niewinne porwane zostały ze swych domów, podczas kiedy wojska angielskie niszczyły ich mienie.

„To tylko jest pewne, że te nieszczęśliwe ofiary wojny wolą uciekać i błąkać się po kraju dniem i nocą, narażając się na śloty i zimna, aniżeli dostać się w ręce takich nieprzyjaciół. Zdaje się, że Wasza Ekscelencya nie wie, że wojska Jej nie wahały się do tych zbiegów—istot zupełnie nieszkodliwych—strzelać z armat i karabinów dla przedszego ich ujęcia. Znaczna liczba kobiet i dzieci została w ten sposób zabita, 6-go czerwca w Graspance, blisko Reitz, gdzie *laager*, złożony z kobiet, wcale nie tabor naszych wojsk, jak mylnie doniesiono Waszej Ekscelencyi, został ujęty przez wojska angielskie. Kiedy przybyliśmy dla uwolnienia tych nieszczęśliwych, a żołnierze Waszej Ekscelencyi ukryli się za niemi, nadchodzący w pomoc oddział wojska strzelał do nich z armat i karabinów, choć wiedział, że *laager* składa się wyłącznie z kobiet i dzieci.

„Mógłbym przytoczyć sto innych wypadków tego rodzaju, ale uważam to za zbyteczne. Niech Wasza Ekscelencya zada sobie trud zapytania któregokolwiek z żołnierzy, a każdy, jeżeli jest szcze-

ry, potwierdzi moje słowa. Utrzymywać, że kobiety z własnej woli znajdują się w obozach koncentracyjnych, jest niezgodne z prawdą, a upewniać, że zostały tam sprowadzone dlatego, że Boerowie nie chcą myśleć o wyżywieniu swych rodzin — jak to powiedział w parlamencie minister wojny — jest potwarzą, która nas nie dosięgnęła, tylko hańbi potwarzę, i której nie mogłaby nigdy pochwalić Wasza Ekscelencya.

„Wracając do proklamacyi, mam zaszczyt upewnić Waszą Ekscelencyę, że nie przeszkodzi mi ona wypełnić do końca swój obowiązek, według głosu sumienia, a nie według rozkazów nieprzyjaciół. Nasz kraj jest spustoszony, nasze domy zniszczone, stada bydła zabrane lub pozabijane, kobiety i dzieci wzięte do niewoli, znieważone i uprowadzone wbrew ich chęci — setki burgerów poświęciło życie dla uratowania niepodległości ojczyzny! I czy Wasza Ekscelencya sądzi, że nie spełnimy obowiązku, zastraszeni groźbą wygnania? Ze będziemy krzywoprzysięzcami względem setek ofiar zabitych lub wziętych do niewoli, które dla przyszłości naszego kraju poświęciły swoją wolność i życie? Ze będziemy krzywoprzysięzcami względem Boga samego, którego sprawiedliwość i łaska opiekowały się dotąd? Gdybyśmy dopuścili się podobnego przestępstwa, nie wątpię, że Wasza Ekscelencya i każdy uczciwy człowiek nie miałby dla nas innego uczucia, prócz wzgardy.

„Kończę, zapewniając Waszą Ekscelencyę, że nikt więcej odemnie nie pragnie pokoju, dlatego też jestem na rozkaz Waszej Ekscelencyi gotów na spotkanie w miejscu przez Waszą Ekscelencyę wskazanem dla naradzenia się nad warunkami, któreby mogły doprowadzić do trwałego pokoju. Ale muszę tu dodać, że nie wydaje się możliwym pokój, któryby nie miał za podstawę niepodległości obu

Rzeczypospolitych i zabezpieczenie interesów naszych braci z Kolonii Przylądkowej.

„Jeżeli trzeba uważać za zbrdnię obronę własnego życia i mienia, i jeżeli ta zbrodnia ma pomścić karę, zdaje mi się, że rząd Jej Królewskiej Mości umie się zadowolnić tem, iż spustoszył kraj, udreńczył kobiety i dzieci i wszystkich mieszkańców przyprowadził do nędzy. W mocy Waszej Ekscelencyi jest położyć koniec tym łupieztwom i przywrócić krajowi dawniejszą jego pomyślność. Nie odwołujemy się do wspaniałomyślności naszego przeciwnika, tylko do jego sprawiedliwości.

„Dołączam do tego listu przekład angielski; ażeby niedokładne tłumaczenie nie przeszkodziło Waszej Ekscelencyi do zrozumienia dokładnie treści tej odezwy.

„Zdarzyło się to już raz, kiedy list, napisany przezemnie do Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej, wpadł w Reitz do rąk angielskich i został następnie ogłoszony. Trudno było w nim poznać oryginalny tekst, nietylko z powodu błędów tłumaczenia, ale i skutkiem frazesów dodanych do oryginału i opuszczeń, które zmieniły zupełnie jego treść pierwotną.

„Mam zaszczyt i t. d.

Podpisano: *M. E. Stejn.*

Prezydent Wolnego Państwa Orańskiego.”

W jaki sposób burgerzy przyjęli proklamacyę lorda Kitchenera? Nie zrobiła na nich żadnego wrażenia. Niektórzy mówili, że jest to dobra sposobność do wypróbowania wytrwałości prawdziwych patriotów i ich oficerów. Muszę tu zaznaczyć, że nikt się po niej nie poddał.

Kiedy nadszedł oznaczony dzień, 15 września, wszyscy burgerzy mieli więcej niż kiedykolwiek wiary w słuszność swej sprawy i pewien jestem, że

gdybyśmy od początku wojny mieli wojsko takim duchem ożywione, nasza sprawa byłaby wzięła lepszy obrót.

Prezydent i naczelni wodzowie odpowiedzieli wszyscy lordowi Kitchenerowi, że zamiarem ich jest prowadzić dalej walkę.

Po tej odpowiedzi nastąpiły trzy udane rozprawy: zwycięstwo generała Branda we Vlakfontein, Delareya w zachodniej stronie Transwaalu i Bothy w Itala, wszystkie odniesione w ciągu września.

ROZDZIAŁ XXXI.

Blokhausy i nocne napady.

Pojechałem w tym czasie do burgerów z Harismithu, którzy walczyli pod rozkazami Jana Jacobsa, a potem do burgerów z Betleemu. Po powrocie dowiedziałem się, że nieprzyjaciel buduje linię blokhausów między Heilbronem a Frankfurtem.

Zadziwiłem się niepomału, dowiedziawszy się o sposobie, do jakiego ucieka się potężna Anglia dla zwalczenia burgerów. Nieprzyjaciele nasi powinni byli osiągnąć swój cel bez budowania blokhausów. System ten był poprostu śmieszny, a liczni jeńcy, zabrani w Wolnem Państwie Orańskim, nie przez blokhausy dostali się do niewoli. Anglicy stykali się prawie łokciami od samego Heilbronu do Frankfurtu i Betleemu. Była to ich podstawa operacyjna. Następnie mieli się rozciągnąć ku Vrede, góróm Smoczym i ku Harismithowi. Zamiarem ich było zacieśnić dokoła nas ten pierścień, dopóki nie zabiorą nam wielkiej ilości ludzi i by-

dła. Ale nasi ludzie nie dali nigdzie schwytać się w tę pułapkę.

Nieprzyjaciel za pomocą zaprzędanych sobie dzienników często wysławiał system blokhausów, ale nie zdołał nigdy wykazać praktycznie, jaki właśnie był z nich pożytek.

Kiedy pod koniec wojny sieć blokhausów pokryła cały kraj, zdarzało się niekiedy, że Anglicy przyparli nas do tej linii obronnej. Chcąc się wy dostać, trzeba było stoczyć walkę. Ale straty nasze były wogóle mniejsze, niż kiedy byliśmy otoczeni żywym pierścieniem ich wojsk.

Anglicy zajęci byli budowaniem jednej z tych linii w chwili, gdy powracałem na południe. Ukończyli ją niezadługo, a potem pobudowali inne — z Vrede do przesmyku Botha, przedłużono linię fortów aż do Harrismithu, następnie z Harrismithu wychodziła linia blokhausów, przechodząc przez Betleem i Fouriesbrug aż do granicy kraju Basutów. Trzecia linia szła z Lindleyu do Kroonstadu, a ztamtąd wzdłuż kolei aż do miejsca rozdwojenia się toru kolei Heilbronskiej.

Druga serya fortów ciągnęła się do granicy Kraju Przylądkowego, a jeszcze jedna z Kroonstadu do kopalni dyamentów w Driekopje; prócz tego inna szła równolegle z rzekami Rhenoster, Valsch i Zand. Następna łączyła Kimberley z Boshofem; jeszcze inna wychodziła z Bloemfonteinu, z Thaba ba'Nchu i z Ladybrandu. Wszystkie te linie przerzynały Wolne Państwo Orańskie. Nie mówię już o tych, które pokrywały terytorium Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

W jakiż sposób były budowane te blokhausy? Jedne z kamienia, inne z ziemi, albo z żelaza. Były okrągłe, albo czterokątne. Niektóre miały strzelnice na sześć stóp od ziemi. Dachy były w nich zawsze żelazne.

Znaczna część miała jedynie podwójne ściany żelazne, pomiędzy którymi pusta przestrzeń zasypa-
na była piaskiem. Blokhauzy te były odległe od
siebie o czterysta kroków, stosownie do natury
gruntu i położenia. Ale zawsze z jednego widać
było, co się dzieje w drugim. Żelazne druty były
poprzeciągane od jednego do drugiego. Rowy, głę-
bokości trzech stóp, szerokości czterech, wykopane
były po za temi ogrodzeniami. Tam, gdzie grunt
był skalisty, stawiano mury.

Patrząc na te linie blokhauzów, zdawało się,
że Anglicy liczą na ujęcie wszystkich burgerów.
Ale na szczęście, nie dawali się ująć. Niekiedy dzi-
kie konie chwyciły się w te sidła; byłbym chciał
widzieć je wtedy, byleby nie siedzieć na grzbiecie
takiego konia. Lecz boerowie po większej części
musieli unikać tych rogatek.

Zbudowanie takich szańców musiało nieźle
kosztować Anglię. Ale jeszcze kosztowniejsze by-
ło obsadzenie ich i obrona. Potrzeba było do te-
go urządzać nieustanny dowóz żywności dla zamknię-
tych w blokhauzach żołnierzy. A wszystkie te pie-
niądze były zmarnowane. Kiedy opowiem później,
w jaki sposób udało mi się przebyć linię blokhau-
zów, czytelnik zrozumie, że zbudowanie ich nie
przyniosło żadnej korzyści, oprócz przedłużenia woj-
ny najmniej o trzy miesiące.

Od zimy 1901 r. Anglicy zaczęli nas napadać
i w nocy. Przerzucili się do innej taktyki, która
rzeczywiście wyrządzała nam niemało szkody. To
tylko nie ulega wątpliwości, że nie mogliby podej-
mować tych nowych napadów, gdyby nie pomoc od-
działów „*National Scouts*”. Nowa ta metoda przy-
nosiła im korzyści dopiero w samym końcu wojny.

Zdawało się niekiedy, że Anglicy zabłąkali się,
że byli zmuszeni uciekać, jak raz w nocy, kiedyśmy
ich podeszli w pobliżu Heilbronu, a innym razem
w Mankewaansstad. Ale aż nazbyt często wpadali

na drobne oddziały burgerów, biorąc do niewoli tych, którzy nie zdołali uciec w porę, a pozostawiając zabitych i ranionych.

Ta taktyka nieprzyjaciela dokuczyła nam najwięcej. Często nawet demoralizowała burgerów i zdarzało się, że niektórzy uciekali z obozu, nie alarmując innych.

Muszę tu opowiedzieć utarczkę, jaką stoczyłem z kolumną nieprzyjacielską. Wyszła ona z Betleemu i posuwała się w kierunku Reitz.

Kolumnie tej służył za przewodnika syn jednego z przedstawicieli Orańczyków¹⁾ i dzięki temu zdążyła dojść do Reitz o wschodzie słońca. Był to świetny rezultat. Pomimo, że idzie tu o nieprzyjaciół, muszę podziwiać ten pochód. Przybywszy, Anglicy schwytali dziesięciu burgerów. Sądziли pewnie, że zastaną tam prezydenta. Ale Stejn już był wyjechał.

Byłem o dziesięć mil ztamtąd ku zachodowi, w farmie Blijdschap. Dziwiło mnie bardzo, że do południa nie miałem wiadomości o tem, co się stało. Kiedym się wreszcie dowiedział, zawahałem się, co czynić. Nie mogłem sprowadzać oddziałów z Heilbronu, z Betleemu, z Vrede i z Harrismithu. Byłoby mi to zajęło najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Mogłem tylko wezwać veldkorneta Vloka z częścią oddziału z Paryża i veldkornetów Lourensa i Matthijisa z ich burgerami. Doliczywszy do tego mój sztab, byłoby nas wszystkiego co najmniej siedemdziesięciu do osiemdziesięciu ludzi.

¹⁾ Ten przedstawiciel przyczynił się do wybuchu wojny: „Przysięgam, że przeleję ostatnią kroplę krwi w obronie mego kraju!” Przekonałem się później, co myśleć o fanfaronadzie tego człowieka, który nie miał nic przeciw temu, ażeby „jego kraj” dostał się pod obce panowanie.

Wezwani veldkorneci przybyli o naznaczonej godzinie.

Miałem na celu przecięcie odwrotu Anglikom, bo nie przypuszczałem, ażeby się odważyli, a było ich pięciuset, pozostać długo o trzydzieści mil od reszty załogi, i byłem prawie pewny, że w nocy powrócę do Betleemu.

Po południu przejrzałem okolicę Reitzu, próbując przeniknąć zamiary przeciwnika. Potem, o zachodzie słońca, wysłałem kilku burgerów na rekonasans, z rozkazem zawiadomienia mnie, gdy tylko wyruszą Anglicy i w którą stronę pójdą. O pierwszej nad ranem dostałem wiadomość, że nieprzyjaciel wychodzi w stronę Harrismithu. Droga, którą szedł, prowadziła także do Betleemu; dopiero o ósmset kroków za wsią rozdzielała się na dwie.

Dostawszy tę wiadomość, nakazałem swoim ludziom, którzy stali w pogotowiu, siadać na koń.

Miałem zamiar pójść drogą do Betleemu, a potem wyjść na drogę do Harrismithu, idąc na poprzek doliny, którą dobrze znałem. Mogłem w ten sposób przyjąć nieprzyjaciela ogniem w chwili, gdy będzie wychodził z wąwozu i kiedy jego sylwetki się wyraźnie zarysują na niebie.

Ale mój eklerer pomylił się. Anglicy nie mieli wcale zamiaru iść drogą do Harrismithu. Skutkiem tego, poszedłszy drogą do Betleemu, omal, że nie wpadliśmy na nich.

Jechali klusem, co im pozwoliło usłyszeć zdaleka nas, którzy jechaliśmy galopem. Byliśmy za ledwie o dwieście kroków od nich, kiedy dali do nas ognia. Zakomenderowałem zaraz:

— Do ataku, burgerzy!

Część tylko najodważniejszych moich ludzi usłuchała rozkazu, reszta uciekła. Było nas pięćdziesięciu, gdy wpadliśmy na Anglików. Starcie było krótkie, ale gwałtowne. Sześciu naszych otrzy-

mało rany; musieliśmy się cofnąć. Na szczęście, nasi ludzie byli lekko ranieni, oprócz mojego syna, Izaaka, któremu kula przeszła nogę poniżej kolana.

Oddaliliśmy się zaledwie o kilkaset kroków, kiedy zobaczyłem wśród ciemności jeźdźców jadących do wsi. W pierwszej chwili wziąłem ich za moich ludzi, którzy uciekli. Ale podjechawszy bliżej, poznałem generała Wesselsa i jego sztab. Miał z sobą tylko dwudziestu ludzi. Pomimo to postanowiłem uczynić nowy wysiłek, ażeby przeciąć odwrót Anglikom. Skorzystali oni zresztą z czasu, który upłynął od naszego starcia, i oddalili się znacznie. Kiedy zdołaliśmy ich dopędzić, słońce już było na niebie.

Gwałtowna walka zawrzała nanowo. Ale nieprzyjaciel był dziesięć razy liczniejszy od nas i miał z sobą jedno działo i jednego Maxima Nordenfelta; nie mogliśmy go zatrzymać i musieliśmy się cofnąć.

Szczęściem nie mieliśmy żadnej straty do oplakiwania i mogliśmy oddalić się spokojnie, podczas gdy Anglicy poszli dalej ku Betleemowi.

Mogliśmy teraz trochę odpocząć, a szczególnie pozwolić naszym biednym koniom, które tego potrzebowały, popaść się na lichej trawie, rosnącej w tych stronach.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Zgromadzam oddział z siedmiuset ludzi.

Ku końcowi września komendant F. E. Mentz stoczył pod Heilbronem bitwę z wojskiem pułko-

wnika Bynga. Część Anglików zajęła stanowisko na wzgórzach, po za domostwami kraalów.

Komendant Mentz nie zawahał się przypuścić szturm do stanowisk angielskich, mając z sobą pięćdziesięciu burgerów. Udało mu się zdobyć te pozycje po zabicu trzydziestu, czy czterdziestu ludzi. Zabrał dwudziestu pięciu jeńców. Reszta uciekła. Z naszej strony było dwóch poległych i trzech ranionych.

Przez ten czas komendant Ross i burgerzy z Frankfurtu stoczyli walkę z pułkownikiem Rimgingtonem, który zostawił nam szesnastu poległych i ranionych, a między nimi siedmiu ludzi z oddziału „*National Scouts*”.

Walka wrzała na wszystkich punktach kraju. Ale nie mogę z wielkim moim żalem opowiedzieć szczegółów tych bitew, bo nie byłem przy nich, a chcę przedstawić czytelnikom te tylko fakty, w których sam brałem udział.

Samo jednak stoczenie tylu potyczek świadczy o ruchliwości naszych oddziałów i wielkich ich wysiłkach. Mam zresztą zamiar zebrać szczegółowe raporty od moich pomocników i wydać je kiedyś w osobnej książce. Nie wątpię, że cały świat zadziwi się opisem ich czynów i odda hołd należny zwyciężonemu męztwu.

Jednakowoż, pomimo ruchliwości tych rozproszonych oddziałów, uważałem, że nadeszła chwila stoczenia ważniejszej bitwy. W tym celu wydałem moim oficerom rozkaz zjechania się w Blijdschapie, w okolicach Betleemu, z pewną określoną liczbą ludzi. Ci, których wezwałem do podjęcia tego zadania, byli to: generał Michał Prinslov z komendantami Olivierem i Rautenbachem z oddziału Betleemskiego; komendant David van Coller, stojący na czele burgerów z Heilbronu od czasu, gdy Steenekamp wziął dymisyę; komendant Hermans Bo-

tha z Vrede; komendant Koen z Ladybrandu i komendant Jan Cilliers z Kroonstadu.

W początkach listopada zdołałem zgromadzić siedmuset ludzi w Blijdschapie ¹⁾. Pomimo, że była to wiosna, stan Veldu pozostawiał dużo do życzenia i z tej przyczyny musiałem porozpraszać moje oddziały, ażeby rozrzucone na większych przestrzeniach mogły znaleźć lepszą paszę dla koni.

W końcu listopada odbyła się bitwa pomiędzy mną a Anglikami na południe od Lindleyu.

Miałem pod rozkazami generałów Hattingha, Wessela Wesselsa i Michała Prinslov. Wiedziałem, że kolumna angielska obozuje od dwóch dni w pobliżu farmy Jägerstrust, o osiemnaście mil na południo-wschód od Heilbronu i prawie w tej samej odległości od Blijdschapu. Sądziłem, że będzie można uderzyć na nią w nocy, ale jednak byłbym wolał, ażeby oddaliła się trochę więcej od Heilbronu.

Przypadek przyśpieszył atak.

Poprzedniego tygodnia trzy kolumny nieprzyjacielskie, idące z Winburga i Kroonstadu, posuwały się aż do doliny Lieberberg, pędząc przed sobą *laager* kobiet ku północo-wschodowi. Porzuciły jednak ściganie *laageru* i powróciły do Kroonstadu, a tymczasem kobiety przeszły po południu, 28 listopada, koło farmy Blijdschap, kierując się ku Lindley. Uciekały przed jednym nieprzyjacielem, ażeby wpaść na drugiego.

Nazajutrz rano, we dwie godziny po wschodzie słońca, dostałem raport od generała Hattingha, który razem z komendantem Cilliersem i stu burgerami stał najbliżej odemnie, z wiadomością, że An-

¹⁾ W tem właściwie miejscu zebrał się sąd wojenny, który sądził obwinionych; z tych jeden, Lange, został skazany na śmierć za zdradę.

glicy z Jägersrustu wyruszyli w pogoń za kobietami, i że to się dzieje prawdopodobnie blisko Blijdschapu w stronie zachodniej.

Jenerał Hattingh kazał swoim ludziom siadać natychmiast na koń i we dwadzieścia minut był już w Blijdschap. Ja zaś, zawiadomiony także, puściłem się również w pogoń za Anglikami, mając z sobą jenerała Wesselsa. Miałem tylko stu ludzi, a od jenerała Hattingha oddalony byłem o pięć mil. Anglicy wyprzedzili nas o dwanaście mil. Ponieważ jenerał Prinslov był za daleko, nie mogłem ściągnąć wszystkich moich sił.

Pomimo to, jenerał Prinslov uderzył pierwszy na Anglików od lewej strony ich frontu. Trochę później przybyłem i ja, ażeby uderzyć na ich tylną straż z prawej strony, a jenerał Hattingh atakował od lewej. Ale na nieszczęście Veld w tem miejscu jest zbyt górzysty i nierówności gruntu nie pozwalały nam widzieć się i działać zgodnie. Przednia straż nieprzyjaciela, która docierała już prawie do *laageru*, musiała zawrócić na pomoc tylnej straży, co znów zmusiło jenerała Hattingha do cofnięcia się przed połączonemi siłami Anglików, którzy na niego natarli. Musiał ustąpić ze swoich pozycyj, straciwszy trzech rannych i dwóch poległych, z których jednym był mążny veldkornet Klopper z oddziału kronsztadzkiego.

Zanim zdążyłem razem z jenerałem Wesselsem i komendantem Hermanem Botha nadciągnąć z pomocą jenerałowi Hattinghowi, zmuszony już był do odwrotu.

Widząc, że mam do czynienia z tysiącem Anglików samej konnicy, wzmocnionej trzema działami, postanowiłem zawrócić w prawo, ażeby wydać jenerałowi Prinslov rozkaz ścigania ich ku Lindleyowi, dokąd się skierowali, i ułożenia z nim razem nowego ataku.

Pochód jenerała Prinslov nie mógł trwać dłu-

go, bo gwałtowny deszcz z gradem zmusił nieprzyjaciela do zatrzymania się w pobliżu farmy Victoriespruit.

Po deszczu noc osłoniła oba wojska. Ponieważ nasze konie były wyczerpane ciągłymi szarżami, jakie przypuszczaliśmy, a burgerzy — z których niewielu miało nieprzemakalne ubrania — przemoczeni byli do nitki, postanowiłem odłożyć atak do następnego dnia. Uważałem zresztą, że Anglicy są zanadto oddaleni od swoich załóg, ażeby mogli otrzymać posiłki, i że nie będzie szkody z opóźnienia ataku. Przepędziliśmy noc o pięć mil od ich obozowiska, ja od strony północno-wschodniej, generał Prinslov od południowo-wschodniej. Zwyczajna warta, bez pikiet, trzymała straż naokoło. Nazajutrz rano, otrzymawszy raport eklererów, wyprawionych dla śledzenia ruchów nieprzyjaciela, zadziwiłem się wiadomością, że Anglicy uciekli podczas nocy w kierunku Heilbronu. Pozostawili w swoim obozowisku pięć naładowanych wózków, jeden wóz, a na prawym brzegu Koornspruitu, przez który się przeprawili, worki z mąką i namioty. Zdaje się, że należeli do oddziału pułkownika Rimingtona.

Było już zapóźno, ażeby ich ścigać i dogonić przed Heilbronem, więc poszedłem z moim oddziałem tam, gdzie była dawniej wieś Lindley. Jeżeli mówię „dawniej”, to z głębokim smutkiem, ale czy mogę wyrazić się inaczej, kiedy w rzeczywistości wieś ta przestała istnieć? Zniszczył ją zupełnie pożar, nie wyjmując kościoła i domu pastora.

W okolicy Lindleyu Veld był wspaniały. Po pierwszych deszczach wiosennych i po wczorajszym deszczu trawa ożyła. Postanowiłem zatrzymać się w tych stronach dla wypoczynku koni. Nie można było myśleć o dostarczeniu im innego pożywienia prócz trawy, bo obroki, pozostawione przez Anglików, nie mogłyby wystarczyć.

Mogliśmy, nie narażając się na niebezpieczeństwo, pozostać tam dziesięć, czy dwanaście dni; ale konie nie poprawiły się wcale; objawiły się u nich parchy, a nie mieliśmy żadnego lekarstwa na tę chorobę, która poraz pierwszy wtedy pojawiła się w granicach obu Rzeszypospolitych.

Z Lindleyu wyprawilem do Kraju Przylądkowego komendanta Johanna Meyera z mego sztabu, przydawszy mu czterdziestu ludzi. Pomiędzy tymi, co z nim poszli, był męzny Willem Pretorius, o którym już miałem sposobność wspominać. Gdyby komendant Meyer miał tylko czas do zebrania oddziału w Kolonii Przylądkowej, nieprzyjacieli byłby się przekonał, jakiego gatunku jest to młode pokolenie Orańczyków, które tak dobrze reprezentowali on i Willem Pretorius.

Dnia 8-go grudnia doniesiono nam o zbliżaniu się trzech kolumn, idących od Kroonstadu.

Chciałem pozostać w Lindleyu i zająć od frontu pułkownika Bakera.

Szło mi o to bardzo, bo miał on pod swemi rozkazami niejakiego kapitana Bergha, z oddziału „*National Scouts*”, a który robił nieustanne wycieczki z Winburga na czele bandy czterystu do pięciuset Kafirów. W czasie tej oplakanej roboty udało mu się przed kilku miesiącami wpaść na oddział komendanta Hasebrocka i zamordować czterech burgerów w okrutny sposób z pomocą towarzyszących mu zbójów. Kilka już razy powtórzyły się podobne zdarzenia. Większa ich część stwierdzona została zeznaniami, uczynionemi pod przysięgą, których kopie przesłano lordowi Kitchenerowi. Oryginały tych zeznań wpadły w ręce nieprzyjaciela. Ale mógłbym je pozbierać nanowo po powrocie do Afryki. Chciałem zresztą pozostawić opisanie tych wszystkich okrucieństw pióru zdolniejszemu od mojego. Wspominam tu o tem tylko mimochodem, dla

wyjaśnienia, czemu interesowałem się tak specjalnie oddziałem pułkownika Bakera.

Zająłem dla oparcia się kolumnom idącym z Kroonstadu, pozycję na północo-zachód od Lindleyu. W tym miejscu stoczyłem tylko parę drobnych utarczek. Cofnąłem się następnie ku wschodowi, a gdy noc nadeszła, zawróciłem na południe, kryjąc się za Kafferskopem, w nadziei, że dostanę tam wiadomość, iż pułkownik Baker idzie z Winburga. Miał on istotnie zwyczaj działać wspólnie z kolumnami z Kroonstadu.

Ale oddziały Bakera zawróciły nazajutrz przez dolinę Liebenberga, pomiędzy Betleemem a Reitz i poszły ku Kroonstadowi. Były one prowadzone przez innego „*National Scouts*”, Pieta de Weta, o którym miałem już sposobność mówić, i który zdradził naszą sprawę. Przepędziwszy dwa dni w obozowisku koło Kafferskopu, przepравиłem się z moim oddziałem przez rzekę Vatsch i otrzymałem wkrótce wiadomość, że wojsko, eskortujące tabor, posuwa się między Harrismithem a Betleemem.

Uważałem, że dobrze będzie napaść na tę kolumnę i udałem się natychmiast w pogoń za nią. Ponieważ niepodobna mi było jej dogonić, zanim powróciła do Betleemu, postanowiłem czekać na nią w odległości piętnastu do szesnastu mil na północo-wschód od Betleemu, mając nadzieję, że będzie powracać do Harrismithu.

Oddział ten stał w Betleemie aż do 18 grudnia rano i tego dnia wyruszył z powrotem do Harrismithu.

Chwila ataku nadeszła.

Rozdzieliłem w tym celu mój oddział na dwie grupy: dwustu pięćdziesięciu ludzi postawiłem w stronie wschodniej Langbergu, w odległości dwunastu do trzynastu mil od Betleemu, a drugie tyle po za skałami Spiuit i Tijgerkloof, w miej-

scu, gdzie droga z Harrismithu przechodzi przez rzekę.

Dałem obu grupom wyraźny rozkaz szarżowania na nieprzyjaciela jednocześnie, gdy tylko każe dać do Anglików ognia z mojego Maxima-Nordenfelta, ustawionego na wierzchołku wzgórza na wschód od Tijgerkloofu, gdzie ukryłem się dobrze, ażeby mnie Anglicy nie spostrzegli, którym chciałem pozwolić podejść blisko do burgerów. Nieprzyjaciel miał około 700 ludzi i dwa działa. Udało mi się tak dobrze poukrywać burgerów, że Anglicy podeszli na tysiąc lub dwa tysiące kroków, nie domyślając się ich obecności.

Kiedy już pierwsi eklererzy Anglików byli tuż, poleciłem kapitanowi Mullerowi wejść na szczyt wzgórza i kazać dać ognia. Jednocześnie wsiałem na konia i puściłem się ku burgerom. Byłem zaledwie w połowie drogi, gdy rozległ się pierwszy strzał. Czułem, że mam już w rękę całą kolumnę i że dzień będzie dobry. Ale jakież był mój zawód, gdy zobaczyłem, że zaledwie trzecia część moich pięciuset burgerów strzelała. Reszta kryła się i nie mogłem, pomimo usiłowań, nakłonić ich do strzelania.

Mojemu planowi zagrażało rozbitcie. Kiedy ci, co strzelając, posuwali się naprzód, spostrzegli, że ich towarzysze pozostali w tyle, zawrócili także. Byliby jednak mogli zaatakować Anglików z czterech stron.

Bitwa trwała krótko, ale była bardzo gwałtowna. Pomimo to, dzień był zmarnowany, bo nie zdołałem już nakłonić burgerów do szarży, i nie pozostawało mi nic innego, tylko cofnąć się na południe od Lindleyu do smutnego schronienia, gdzie obliczaliśmy straty, gdy mogliśmy odnieść zwycięstwo. Połączenie oddziałów nastąpiło wkrótce potem. Straty nasze wynosiły dwóch zabitych i dzieścicu rannych, z których dwóch wkrótce zmarło.

Niepodobna nam było dowiedzieć się o stratach Anglików, ale widzieliśmy, że ambulanse ich były bardzo zajęte na polu bitwy. Mówiono nam później, że straty ich były o wiele większe od naszych.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Zdobycie obozu angielskiego w Tweefontein.

Kolumna angielska poszła do Harrismithu. Powzięłem zamiar spróbować nowej wyprawy, która—tym razem—miała się powieść. Wyruszyłem na północ-wschód od Betleemu i ukryłem moich ludzi w Tijgerkloofie, gdzie Veld był w doskonałym stanie.

Taki powzięłem plan:

Obóz pułkownika Firmana stał między Betleemem a Harrismithem, w pobliżu mostu kolejowego na rzece Eland. Wojsko zajęte było budową linii blokhauzów pomiędzy temi dwiema wioskami. Obóz był za dobrze oszańcowany, ażeby można go wziąć szturmem, a wiedziałem, że pułkownik Firman, o ile będzie wiedział, że jestem w pobliżu, nie wychyli się za linię swoich szanów, ażeby nie dać sposobności do napadu.

Musiałem więc wymyślić jakiś manewr, ażeby go wywabić z obozu.

Sprowadziłem do siebie komendanta Jana Jacobsa, który był w Witzieshock z pięćdziesięciu ludźmi. Powierzyłem mu mój plan, poleciwszy wracać ze swymi ludźmi tak, ażeby go zobaczył pułkownik Firman. Dałem prócz tego polecenie posłania kilku veldkornetów do kraalów, położonych na

krańcu obozu angielskiego, jakgdyby dostali rozkaz połączenia się ze mną i jakbym ich odesłał do właściwych okręgów, powziąwszy zamiar iść z moim oddziałem w stronę Winburga.

Mój plan miał się wykonać nazajutrz, a ekle-
rerzy pułkownika Firmana otrzymali od Kafrów
fałszywe wskazówki, które im kazałem był zakomu-
nikować. Wyniknęło z tego, że nazajutrz, 22 gru-
dnia, kolumna pułkownika Firmana, licząca sze-
ściuset do siedmiuset ludzi, wyruszyła z nad brze-
gów rzeki Elands do Tweefonteinu, fermy, po-
łożonej na pół drogi między rzeką Elands a Tij-
gerkloofem.

W pobliżu tej farmy jest góra zwana Groen-
kop. Nazwano ją potem Kristunikop.

Rozkazałem komendantowi Jacobsowi, ażeby
się ze mną połączył w noc Bożego Narodzenia wraz
ze swoimi pięćdziesięciu ludźmi, zalecając mu na-
dewszystko nie pokazywać się nieprzyjacielowi.
Wezwałem także veldkorneta Beukesa z pięćdzie-
sięciu ludźmi z Wilge, z okolic Harrismithu. Veld-
kornet Beukes był człowiekiem odważnym, zasłu-
gującym zupełnie na tytuł, który mu potem dałem,
komendanta części burgerów z Harrismithu. Za-
miarem moim było uderzyć na pułkownika Firmana
rankiem w Boże Narodzenie.

Na dwa dni przedtem zbadąłem z jenerałem
Prinslov i z komendantami okolice Groenkopu, na
którego szczycie stał obóz pułkownika Firmana.
Zbliżyłem się jak można było najbliżej do góry.
Pierwszego dnia zdołałem obejrzeć ją tylko od za-
chodu, północy i wschodu. Nazajutrz udało mi się
zbać ją od strony południowej.

Ponieważ szło mi o to, ażeby koniecznie ude-
rzyć na nieprzyjaciela samym rankiem w dzień Bo-
żego Narodzenia, byłem bardzo niezadowolony, że
już od 22-go grudnia Anglicy zajęli te pozycye, bo

przypuszczałem, że przez cztery dni mogli się tam mocno oszańcować.

Obserwując południowe zbocze góry, spostrzegłem trzech jeźdźców, wyjeżdżających z obozu i zachowujących wszelkie ostrożności, ażeby ich nikt nie zobaczył. Mieli oni zapewne zamiar — chwalebny dla nich, niedogodny dla mnie — przepatrzenia stanowisk mego oddziału.

Pozwoliłem im galopować pewien czas w kierunku północno-wschodnim, a potem wysłałem na ich spotkanie — boczną ścieżką — komendanta Oliviera i kapitana Potgietera.

Wycieczka ta miała na celu nie tyle ujęcie eklererów, co wywabienie nieprzyjaciela na demonstrację artylerji, któraby nas objaśniła o rozmieszczeniu dział.

Ale pikiety angielskie, zobaczywszy moich ludzi, uważały za obowiązek puścić się za nimi w poгон. Był to zbytek zuchwalstwa wobec dwóch takich dzielnych żołnierzy, jak Olivier i Potgieter. Wzięli na ambicję, zawrócili na miejscu i okrążywszy pagórek, wpadli na eklererów nieprzyjacielskich, którzy straciwszy ich z oczu, upatrywali teraz na równinie. Zobaczywszy, że są zaskoczeni, eklererzy angielscy — a byli to Kafrowie — uciekli galopem. Ale jeden z nich padł w ucieczce od kuli Oliviera.

Wycieczka moich eklererów wywołała pożądany skutek, bo armaty angielskie zaczęły strzelać do nich i objaśniły nas, że stoją na zachodnim zboczu góry, z kąd mogły górować nad całą okolicą.

Plan ataku na Groenkop przedstawiał się tak:

Od strony wschodniej pochyłość była łagodna i można było odważyć się na szturm; ale Anglicy, przewidując możliwy atak od tej strony, oszańcowali się tam mocno. Od strony zachodniej oszańcowani byli słabo, ale mieli naturalną tarczę w bardzo stromej pochyłości góry. Mogli też w razie na-

padu od przeciwnej strony przenieść się tam szybko. Pewny byłem, że pomimo stromego zbocza, utrudniającego szturm, lepiej będzie zaatakować Anglików od zachodu.

Obóz nieprzyjacielski, okrągłego kształtu, miał średnicy czterysta kroków. Tabor stał w bezpiecznym miejscu, w rozpadlinie poniżej szanów, z których można było strzelać bez szkody dla niego.

Należało przygotować się do ataku.

Oddział mój zgromadził się w tym celu 24 grudnia w pobliżu Tijgerkloofu, w miejscu takim, z którego nie było nas widać. Miał on wyruszyć z nadejściem nocy i dojść do farmy północnej, o cztery mile od Groenkopu, z kądem już ja miałem go poprowadzić.

Stawił się punktualnie i zastałem go na miejscu o oznaczonej godzinie, razem z generałem Brandem i komendantem Sarelem Coetzee, którzy przybyli dla zobaczenia się ze mną i pochwycili z zapalem sposobność działania. Miałem do rozporządzenia sześciuset burgerów Michała Prinslova, doskonale dowodzonych przez komendantów: Hermana Bothe, van Collera, Oliviera, Rautenbacha, Koena, Jana Jacobsa i Mearsa.

Kiedy już wszystko było gotowe, postawiłem stu ludzi przy naszej armacie i konie pociągowe, a resztę koni wyprawiłem w drogę ¹⁾. Miały one

¹⁾ W owym czasie mieliśmy konie pociągowe, ale nie mieliśmy bagażów. Nie przeszkadzało to Anglikom donosić codzien o zabranii nam taborów i laagerów. Szczególnie ja podniecałem ich zapal: „Tabor de Weta zabrany został dnia i t. d.” lubili bardzo pisać. Ale ażeby zabrać tabor de Weta, potrzeba było przedewszystkiem, ażeby de Wet go miał, a de Wet oddawna już nie chciał mieć taboru. Konie nieruchome, armaty i karabiny, oto wszystko, czego mu było potrzeba.

Być może, że nieprzyjaciel popełniał mimowolną pomyłkę. Laagery, które brał za należące do mnie, były to

posuwać się małemi oddziałkami w najgłębszej ciszy i połączyć się u podnóża zachodniego zbocza Groenkopu. Burgerzy mieli tam pozostawić konie i wejść na górę pieszo do miejsca, z kąd miał się rozpocząć szturm. W takim tylko razie należałoby go przyspieszyć, gdyby Anglicy uderzyli na alarm.

Ale nie przeczuwali oni nic.

Doszliśmy do połowy zbocza nie niepokojeni. Była druga w nocy. Nagle wśród ciemności rozległ się głos sztyldwacha:

— Kto idzie?

I huknęły strzały.

Nie było czasu na wahanie. Zawołałem, idąc na czele moich ludzi:

— Do szturm, przyjaciele!

Jednogodnie, jakby jednym głosem, oddział odpowiedział mi:

— Do szturm, jenerale!

Niezapomniana to była chwila, gdy pośród gwizdania kul rozległy się te słowa, które rzucali nasi dla dodania sobie odwagi:

— Nie ród! Do szturm!

Złowrogi głos armat zahuczał wkrótce na wierzchołku wzgórza, głusząc wszystkie inne odgłosy. Potem nagle umilkł. Wśród ciemności zarysowały się kontury postaci kanonierów i padli wszyscy od naszych kul przy swoich działach.

Od tej chwili obóz był już zdobyty. Anglicy ustępowali — ustępowali ciągle. To była ich kolej i ich dola, ilekroć walczyliśmy w równej sile. Po cofaniu się nastąpiła ucieczka; ale nie mogliśmy dokonać zupełnej porażki nieprzyjaciela, bo nasze konie zostały u stóp góry.

nieszczęśliwe zbiorowiska kobiet, tułające się po Veldzie i uciekające przed koncentracyjnymi obozami. Czy ujęcie ich było tak wielką zasługą i czy warto było wystawiać te czyny w obszernych raportach?

Cała sprawa skończyła się w niecałą godzinę. Nie mogę tego zresztą dokładnie określić, bo nie zastanawiałem się nigdy, ile czasu potrzeba nam było, ażeby Anglików zmusić do ucieczki; zależało to zresztą od okoliczności. Najważniejszym było, ażeby ich do tego doprowadzić. Przyszłą zresztą chętnie, że Anglicy, zanim uciekli, bili się dobrze. Owej nocy mieliśmy do czynienia z „Yeomanami”.

Kiedy wszystko się skończyło, zamiast huku dział i karabinów, rozległy się żałosne skargi rannych. A że żołnierze, walczący w obronie wolności, byli przede wszystkim ludźmi, rozkazałem im pomagać lekarzom w przenoszeniu rannych do naszych namiotów, gdzie można ich było opatrzyć. Zastali tam wszystkie napoje, jakie mieliśmy do rozporządzenia.

Co w tej bitwie było nie do darowania, to to, że Anglicy ustawili swój ambulans w pośrodku obozu, skutkiem czego doktor Reid został śmiertelnie raniony.

Kiedy słońce weszło, przeprowadziliśmy armaty i wozy do naszego obozu. Potem uświadziłem je w stronę Langbergu, na zachód od Groenkopu.

Nieprzyjaciel postradał stu szesnastu ludzi, zabitych lub ciężko rannych, a dwustu czterdziestu dostało się do niewoli.

Z naszej strony także straty były duże. Mieliśmy czternastu poległych i trzynastu rannych. W liczbie poległych był komendant Olivier z Beetelemu, na którego miejsce mianowałem M. A. J. Beetera, i veldkornet Jan Dalebout z Harrismithu; pomiędzy rannymi Gert de Wet z mojego sztabu. Dwóch rannych umarło, a jednym z nich był veldkornet Lomorens.

Oprócz dwóch Armstrongów i jednego Maxima-Nordenfelta, łup nasz stanowiły: znaczna ilość amunicji, karabinów, namiotów, pięćset koni, mułów i wóz wyładowany różnemi napojami, co nie było

obojętne dla tych burgerów, którzy nie gardzili podtrzymywaniem odwagi za pomocą kieliszka. Ale można było przebaczyć nadużycie trunków angielskich ludziom, którzy podeszli nieprzyjaciela o drugiej w nocy, pod gradem kul.

O dwie mile od Groenkopu stał mały obóz nieprzyjacielski, który, ostrzeżony odgłosem strzałów armatnich i karabinowych, zaczął nas ostrzeliwać zaraz po wschodzie słońca. Anglicy byliby może odpokutowali za swe zuchwalstwo, gdybym tak, jak poprzedniej nocy, miał pod ręką wszystkich moich burgerów. Ale wyprawilem jedną część z wozami, a druga część prowadziła za cugle zdobyte konie. Uznałem, że bezpieczniej nie próbować ataku.

Rozkazałem ludziom, którzy mi jeszcze pozostali, odprowadzić wózki na północ od Betleemu. Ztamtąd odesłałem nazajutrz jeńców drogą z Naanwportu na samą granicę kraju Basutów. Potem wyprawilem generała Prinslow w okolice, położone między Reitzem a Heilbronem.

Ja sam pojechałem zobaczyć się z prezydentem Stejnem, a potem w odwiedziny do chorych w naszym szpitalu w Bernidenhontsdriift, których pielęgnował doktor Poutsma.

Następnie pojechałem do generała Wessela Wesselsa.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Toruję sobie drogę przez szeregi sześćdziesięcioletniej armii

Anglicy jednak nie mogli pogodzić się z myślą, ażebyśmy mieli zatrzymać armaty z Groenkopu,

a kiedy generał Michał Prinslow, posuwając się drogą Reitz-Heilbron, doszedł do doliny Liebenbergu, zastąpili mu drogę. Silna kolumna angielska przysłała tam z Kroonstadu, ale wypróbowała na sobie zalety dział angielskich z Groenkopu. Armaty doskonale się sprawiły względem dawnych swoich panów.

Było to 28 grudnia, przed samym zachodem słońca.

Anglików było jednak dużo, i pomimo, że nasze armaty sprawiły się dzielnie, Prinslow uważał, że trzeba się trzymać tylko do nocy, a potem przemknął się ukradkiem przez linie angielskie. Nazajutrz rano był już o dwanaście mil na południo-zachód. Nieprzyjaciel, sądząc, że go zastanie w tem samym miejscu, gdzie go zostawił w przeddzień, czekał na niego z upragnieniem, a nawet szukał go w pobliżu. Nasz generał, dobrze ukryty na szczycie wzgórza, bawił się poszukiwaniami Anglików.

Przez ten czas, gdy oni zajmowali się szukaniem wojska, którego nie było, przejechałem też obok nich dolinę Liebenberga, powracając ze szpitala. Jechałem do oddziału Heilbronskiego. Nie mogłem doprawdy zawiadomić nieprzyjaciela, że przejeżdżam tamtędy.

Nazajutrz Anglicy odeszli do farmy Greenvlei, na północ od Lindleyu, i zatrzymali się tam pewien czas, oczekując nadejścia posiłków.

— Wiem, co planujecie—myślałem sobie; widzicie, że nas jest mało i chcecie pierwszego lepszego dnia zaskoczyć nas i przygnieść masą. Ale jeszcze tym razem nie złapiecie de Weta...

I dla zaszachowania taktyki nieprzyjaciela, rozdzieliłem natychmiast mój oddział na części. Każdy z komendantów ruszył w inną stronę, a komendant Mears został przy działach z zastrzeże-

niem, ażeby nie posuwał się, dopóki nie zbada dobrze gruntu.

We dwa tygodnie Anglicy, jak przewidywałem, zgromadzili przeciwko mnie siedem silnych kolumn, ażeby rozpocząć działania w okolicach Heilbronu, Betleemu i Harrismithu. Nie mogąc zejść się z nami, oddziały ich postanowiły okazać swoją odwagę, paląc wszystkie zabudowania, spotkane na drodze, i zabierając bydło

Od stycznia do lutego 1902 roku, Anglicy, usiłując nas osaczyć, coraz zwiększali liczbę wojska. Dobrze ukryty w pobliżu, ciągle w ruchu, obserwowałem ich, ażeby wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Chciałem przebyć linię blokhauzów między Lindleyem a Betleemem, poprzedzany armatami komendanta Mearsa, któremu nakazałem połączyć się ze mną w stronie Elandskopu; udało mi się jeszcze raz wymknąć Anglikom na wschód od rzeki Wilge. Ale nie mógł wykonać danego mu polecenia. W pobliżu farmy Fann's Home osaczyły go zmienacka wojska pułkownika Bynga; zmuszony więc był pozostawić swoje działa. Kapitan Muller wraz z trzynastu artylerzystami wpadł w ręce nieprzyjaciela razem ze swemi armatami. Prawdę mówiąc, te działa nie oddawały nam nigdy wielkich usług, bo Anglicy, zmuszając nas ciągle do spieszego pochodu, przeszkadzali posługiwać się nimi.

Nie mogłem zatem, jak zamierzałem, przekroczyć linii blokhauzów pomiędzy Lindleyem a Betleemem i połączyć się po przejściu z burgerami z tego ostatniego miasta, z Kroonstadu i z Winburga.

Trzeba było przejść jednakże, bądź co bądź, bo wojska zgromadzone między Harrismithem a Vrede tworzyły olbrzymi kordon, zaczynający się od blokhauzów Harrismith — Betleem, a kończący się przy przy blokhauzach we Vrede, przez Frankfurt

i Heilbron. Wojska te posuwały się ścisłemi szeregi, usiłując nas przyprzeć do linii blokhauzów.

Dnia 5-go lutego po południu zobaczyliśmy, że wysuwają się z różnych stron na dolinę Liebenberg. W Elandshope heliograf ¹⁾, wyprawiony z Blamohopu i Verkijherskopu, doniósł mi prócz tego, że nowy kordon rozciąga się pomiędzy Frankfurtem a linią Betleem—Lindley. Wnosiłem z tego, że Anglicy mają zamiar pchać nas ku linii Betleem—Kroonstad i ku kolei.

W tem położeniu ruszyłem 6-go lutego w pochód ku Slangfontein, na zachód od Heilbronu. Zostawiałem po drodze rozkazy komendantom van der Merwe, Mentzowi, van Collerowi i oddziałowi burgerów komendanta Bestera. Polecałem im zgrupować się po południu w Slangfontein, ażeby nocą przebyć linię blokhauzów. Był już wielki czas, gdyż nieprzyjaciel posuwał się coraz dalej za nami.

Komendantci van Coller i van der Merwe nie stawili się na moje wezwanie. Przeróżni się przez szeregi angielskie pomiędzy Jägersrust i linią blokhauzów Heilbron—Frankfurt, gdzie zmusili Anglików do ucieczki po zabiciu im dwóch ludzi.

Burgerzy veldkornetów Taljaarta i Prinslova nie stawili się także. Chcieli pójść inną stroną i wszyscy dostali się do niewoli, z wyjątkiem dwudziestu ośmiu ludzi.

Muszę jednak nadmienić, że blokhauzy nie przyczyniły się wcale do tego powodzenia Anglików. Zawdzięczali je tylko nieostrości burgerów, którzy myśleli, że zdołają się ukryć i zostali wyłowieni każdy z osobna. Tych niezgrabnych było

¹⁾ Komunikacya heliograficzna istniała w owej chwili pomiędzy Elandskopem a Blauwkopem, między Betleemem a Lindleyem, łącząc go z Verkijherskopem i Vrede i szła po za linią blokhauzów aż do Biddulphsberga.

stu. Ja miałem przy sobie tylko komendanta Mentza i część ludzi z oddziałów komendanta Bestera, Cilliersa i Mearsa.

Po południu posunęliśmy się aż do farmy, odległej o dwanaście mil od linii blokhauzów Lindley — Kroonstad, którą chcieliśmy przebyć przed wschodem słońca. Mieliśmy z sobą pięćset do sześciuset sztuk bydła, które w ciemnościach zbłąkało się, zanim to spostrzegłem.

Bolesny był ten przymusowy pochód uciekających wśród nocy, pomiędzy podwójnym kordonem wojsk, tych szczątków armii walczącej za wolność! Byliśmy wszyscy zdecydowani umrzeć raczej, niż dać się ująć, a właściwie byliśmy zdecydowani wydostać się z tej pułapki i przekonać Anglików, że oczka ich sieci utkanej na naszą zgubę są jeszcze za luźne.

Wbrew naszym przewidywaniom wszystko z początku układało się jak najprościej, tak dalece prawdą jest, że niebezpieczeństwo bywa najdalej wtedy, kiedy sądzimy, że jest blisko.

Ponieważ szliśmy polem dla większego bezpieczeństwa, wpadliśmy niespodziewanie na druty ogrodzeń, łączących sławne blokhauzy. Przecięliśmy je w jednej chwili i bez szmeru — bez jednego wystrzału — przeszliśmy pojedynczo jeden za drugim.

Wkrótce w ciemnościach nocy zaledwie było można rozróżnić zarysy pozostałych za nami blokhauzów.

Nasz oddział nie miał jednak nic wojskowego w swojej postawie i mniej podobni byliśmy do żołnierzy, niż do zabłąkanych pielgrzymów lub wędrujących wychodźców. Oprócz burgerów szły z nami kobiety, dzieci i starcy, którzy schronili się do nas, uciekając przed obozami koncentracyjnymi.

Wschodzące słońce zastało nas już zdala od Anglików na brzegu rzeki Valsch. Zatrzymaliśmy

się, czekając na opóźnionych. W tej właśnie chwili podszedł do mnie jeden burger z tylnej straży i zadał mi pytanie, dobrze charakteryzujące tę niezwykłą awanturę:

— Jenerale—zapytał—gdzie są blokhausy?

— Zostały już daleko za nami, mój przyjacielu!

Nie spostrzegł tego. Przyznaję, że nie trzeba było zadawać sobie wiele trudu, ażeby się wyknać ogromnym siłom wojsk angielskich, osaczających nas od trzech miesięcy. Może Opatrzność ulitowała się nad tymi ostatnimi żołnierzami Oranji, którzy byli duszą narodu, pozbawionego dachu i błakającego się w tej chwili — i postanowiła im oszczędzić wstydu i boleści wpadnięcia w ręce nieprzyjaciół.

Nawet nasze bydło zdołało przejść bez wielkiej szkody przez te potężne szańce. Zaledwie stanęliśmy na brzegu rzeki Valsch, rozległy się strzały. To nasze trzody przeprowadzali walecznie przez linię blokhausów Jan Potgieter, Gert Potgieter i Wessel Potgieter. Dwadzieścia sztuk padło zabitych lub ranionych i jeden koń został zabity pod jeźdźcem. Reszta przeszła.

Myślę, że właśnie o tym epizodzie z bydłem opowiadali później Anglicy, że popędziłem przed moim oddziałem stado spłoszonego bydła, ażeby mi utorowało przejście przez linię blokhausów. Było w tem trochę złośliwości, do przedzierania się przez linie angielskie nie miałem dotąd zwyczaju posługiwać się bydłem, lecz tylko karabinami i armatami. W tym przypadku, ponieważ trzeba obierać zawsze drogę jak najprostszą, nie posługiwałem się niczem.

Z nad rzeki Valsch, gdzie odpoczywaliśmy po wzruszeniach tej nocy, poszliśmy trzynaście, czy czternaście mil na południe od linii blokhausów, ażeby odpocząć parę dni. Ztamtąd wyprawilem

kilku eklererów na nasze tyły, ażeby się przewieźć o wojskach angielskich, które nas ścigały po za linią blokhauzów.

Nazajutrz dowiedziałem się z heliogramu, który mi przysłali ci, 'co przebyli linię, że mogą wracać. Wojska angielskie, nie znalazłszy mnie, zawróciły do Kroonstadu i Heilbronu.

Postanowiłem wtedy powrócić i przejść przez linię fortów nieco dalej ku wschodowi, koło farmy Palmietfontein na zachód od Lindleyu. Jak poprzednio, kazałem iść naprzód kilku burgerom i poprzecinać druty, ale wyznaję, że zostali źle przyjęci. Była to zresztą ich wina, bo zamiast iść po dwóch, jak im zalecałem, szli po dziesięciu razem i zostali spostrzeżeni przez Anglików, którzy, domyślając się, że w tem miejscu zamierzamy przejść, obstawili je znacznymi siłami.

Ale że druty były poprzecinane, postanowiłem mimo to przejść. Pod ogniem Anglików z pośpiechem przebyliśmy tę linię śmiertelną, którą nieprzyjaciel nakreślił na ziemi Orańskiej i chciał zabarwić naszą krwią. Tym razem, na nieszczęście, udało mu się to aż zanadto: jeden burger został zabity, czterech ranionych, a oprócz tego oplakiwaliśmy jeszcze stratę dwojga dzieci: jednego dziesięcioletniego, drugiego jedenastoletniego.

Czytelnikowi, który może zapyta, dlaczego wystawialiśmy dzieci na takie niebezpieczeństwo odpowiem zawsze to samo. Czy nie lepiej było wystawić te niewinne istoty na kule nieprzyjacielskie, które mogły je ominąć, niż na śmierć, która szerzyła zniszczenie w obozach koncentracyjnych? Czy nie lepiej było uprowadzić je nawet pod strzałami nieprzyjacielskimi razem z matkami, niż rozłączać je z niemi, gdyby wpadły w ręce nieprzyjaciela, jak syn Jakóba Thérona, dziesięcioletnie dziecko, które Anglicy wydarli z objęć matki.

Jak już mówiłem, pozostawiam innym opisy-

wanie" tych okrucieństw i jeżeli wspominał o tem ostatni raz, to tylko dla wyjaśnienia smutnych powodów, dla jakich ostatni walczący burgerzy prowadzili z sobą słabe i niewinne istoty, nie mogące się bronić.

Poraz drugi utorowaliśmy sobie drogę przez blokhauzy nieprzyjacielskie. Dowiedziałem się później, że lord Kitchener, pewny ujęcia mnie, przybył z pośpiechem na dworzec w Wolvehoch, ażeby czuwać nad moim odjazdem, jako jeńca wojennego, razem z prezydentem Stejnem. Ale tego rodzaju spotkania nie przypadają mi do gustu i nie dopisałem owego dnia głównodowodzącemu armią angielską, jak nie dopisałem poprzednio mojemu dawnemu przyjacielowi, Karolowi Knox, który mnie ciągle szukał, a nie mógł nigdy znaleźć.

Burgerowie rozchodzili się na swoje posterunki, ja pojechałem w okolice Elandskopu do farmy pana Henryka Prinslov, zwanego „Rudym,” gdzie odpoczywałem kilka dni. Lecz Anglicy, którzy nie wyrzekli się nadziei znalezienia mnie, byli już na moim tropie, i silny oddział jazdy przybył rozciągnąć kordon wokoło Elandskopu z zamiarem otoczenia w nocy farmy.

Anglicy, chcąc mnie ująć, o jednym tylko nie wiedzieli, że od dwóch lat nie sypiałem nigdy w domach. Stało się to już moim zwyczajem. Nie traściłem na tem dużo pod koniec wojny, bo wtedy piękniejsze nasze farmy były już tylko poszarpanymi kawałami murów, poczerniałych od ognia, z zapadniętymi dachami.

Dnia 18-go lutego przebyłem dolinę Liebenbergu, dążąc do farmy Rondebosch, na północ-wschód od Reitzu, gdzie właśnie zastałem członków rządu.

Anglicy jednakże próbowali znów nas osaczyć. Szli w kierunku Betleemu, na południe od linii blokhauzów Kroonstad—Lindley. Inni, ciągnąc od

Heilbronu, szli wzdłuż linii Heilbron — Frankfurt od strony północnej, zmusiwszy komendanta Possa do przekroczenia tej linii i cofnięcia się ku południowi. Oba korpusy połączyły się z sobą w taki sposób, że utworzyły jeden front, ciągnący się od linii Betleem—Lindley aż do linii Frankfurt—Vrede. Cały kordon posunął się wtedy, 24-go lutego, w stronę Vrede i Harrismithu.

Byłem zdania, że należy się skierować razem z prezydentem Stejnem i członkami rządu ku Witkoppen między Vrede i Harrismithem, a potem przekroczyć linię blokhausów w pobliżu Vrede, albo Harrismithu, gdy tylko Anglicy zaczną nas ścigać.

Zdawało mi jednak tym razem bardzo trudną rzeczą wymknąć się im, ponieważ należało się liczyć nie tylko z siłami, które nas ścigały, ale i z tymi tysiącami Anglików, którzy szli na nas jednocześnie od Villersdorpu, Standertonu, Volksrustu i Lingsneku, a którzy w połączeniu z tymi tworzyli na około nas olbrzymi kordon z 60,000 ludzi złożony.

Nie parli nas już na blokhausy, przez które przeszliśmy z taką łatwością, i nie dowierzając temu wynalazkowi, woleli otoczyć nas zwartem kołem.

Zawiadomiono mnie o zbliżaniu się tych silnych kolumn dopiero wieczorem 22-go lutego, kiedy już przechodziły one przez linię blokhausów. Nowinę tę przyniósł mi komendant Botha; część jego burgerów wymknęła się była w przeddzień, przebywszy linię blokhausów Vrede—Frankfurt razem z burgerami komendanta Rossa.

Owej nocy poszliśmy nad brzeg rzeki Cornelis i nazajutrz przybyliśmy do farmy Brakfontein, będącej własnością pana Howela. Miałem zamiar przekroczyć linie nieprzyjacielskie między Vrede a przesmykiem Botha. Ale eklererzy ostrzegli

mnie, że to miejsce jest zanadto strzeżone, ażeby przejście było dla nas możliwe, i że łatwiej będzie przedostać się w Kalkkrans nad Holspruitem; postanowiłem tedy skierwać się natychmiast do tego miejsca.

O zachodzie słońca wyruszyłem z Brakfonteinu z silnem postanowieniem przedarcia się za jakąbądź cenę przez linie nieprzyjacielskie w Kalkkrans. Gdybym został w tej chwili ujęty, moje wojska poniosłyby klęskę bezpowrotną. Byłoby już po nas, ponieważ prezydent Stejn i członkowie rządu wpadliby także w ręce Anglików.

Szła ze mną część burgerów z Harrismithu, z Vrede i z Frankfutu, ze Standertonu i z Wakherstroomu, te ostatnie pod rozkazami komendanta Albertsa, który był od niedawna w tych stronach, dokąd przyjechał po konie dla swoich jeźdźców; prócz tego byli jeszcze ze mną burgerzy, których z różnych miejsc tej okolicy wypędziło zbliżanie się nieprzyjaciela.

Włókłem też za sobą starców, dzieci i innych niewalczących, razem około dwóch tysięcy osobników.

Komendant Mentz był w pobliżu także, generał Wessels, komendant Beukes i część ludzi z Bettleemu. Ale nie miałem dokładnych danych co do pozycji, które zajmują i niepodobna mi było wtajemniczać ich w moje plany. Jednakowoż przypuszczałem, że i oni także potrafią uniknąć rozbicia i jeszcze raz wynkną się Anglikom). A jeżeli już trzeba będzie poddać się, należy oszczędzić sobie tego wstydu, ażeby nie zostać schwytanym.

W Brakfontein spotkałem komendanta Jana Meyera, a za nim o pięć, czy sześć mil większą

) Tak się też stało. Zdołali przerznąć się przez kolumny nieprzyjacielskie.

część ludzi z jego oddziału. Zaproponowałem mu, ażeby poszedł ze mną razem, pewny, że będę miał dobrego przewodnika w tym oficerze, który tak dobrze znał tę okolicę.

Rozporządziwszy wszystko, ułożyłem porządek naszego pochodu: konnica miała iść naprzód, a zaraz za nią mój powóz, zaprzężony w sześć mułów. Ten powozik jeździł ze mną nawet do Kolonii Przylądkowej, od czternastu miesięcy nie opuścił mnie ani na chwilę i z nim przed dwoma dniami przepравиłem się przez linię blokhausów.

Potem mieli jechać starcy i chorzy na wozach, które nam pozostały, nakoniec było porozdzielane na mniejsze stada, z których każde miało prowadzić kilku ludzi.

Ruszyliśmy w drogę.

Przybywszy na to miejsce, gdzie spodziewałem się spotkać Anglików, rozkazałem komendantom Rossowi, Hermanowi Botha i Alberstowi wysunąć się naprzód z częścią burgerów.

Przeprawiliśmy się przez Holspruit; potem zawróciliśmy ku zachodowi, bo dowiedziałem się od eklererów, że droga, którą jechaliśmy z początku, wiedzie prosto do obozu angielskiego.

Zresztą nieprzyjaciel był wszędzie. Nie z jednym korpusem mieliśmy do czynienia, ale z całą armią. Liczba naszych przeciwników była tak znaczna, że nie można jej było ściśle oznaczyć.

O trzysta kroków od Holspruit nieprzyjaciel nagle sypnął na nas kulami. Mogliśmy być pewni, że nie łatwo pozwoli nam przejść.

Burgerzy szli ciągle prosto aż do samego strumienia; ale gdy nieprzyjaciel zaczął strzelać, zboczyli trochę na lewo. Tylko ludzie Rossa, Bothy i Alberta nie zachwiali się. Oficerowie i veldkorneci z setką ludzi przypuścili szturm do najbliższej pozycji angielskiej.

Wołałem z całych sił:

— Burgerzy! Do ataku!

Usiłowałem zatrzymać tych, którzy zawracali. Uciekałem się nawet do pomocy *sjamboka*¹⁾. Ale tylko dwustu pięćdziesięciu usłuchało, reszta zaś uciekła.

W jednej chwili pozostałem sam bez sztabu. Kilku oficerów oczekiwało na rozkazy przy moim powoziku, wystawionym na ogień nieprzyjacielski. Inni, pomiędzy którymi był mój syn Kootie, pełniący przy mnie obowiązki sekretarza, usiłowali iść za mną, ale w popłochu, który nastąpił po ataku, porwani zostali z falą uciekających.

Popłoch ten łatwo wytłómaczyć: burgerzy nie spodziewali się spotkać tak prędko nieprzyjaciela i jego strzały zaskoczyły ich zniechęca. Rzuciłem się na wszystkie strony, pobudzając moich ludzi i zachęcając ich do rozerwania tego żywego pierścienia, który nas zamykał.

Spotkałem podczas tego dwóch oficerów mego sztabu, Alberta Thennissena i Burta Nisseya, i poleciłem im przeprowadzić, bądź co bądź, mój powozik.

Potem zobaczyłem mego syna Izaaka i zatrzymałem go przy sobie.

Anglicy strzelali do nas z trzech stron jednocześnie, pomimo to, dzięki silnemu postanowieniu przejścia, bez względu na trudności, nie ustąpiliśmy i w godzinę potem byliśmy już wolni!

Anglicy jednak porobili co pięćdziesiąt kroków szançe, w których mogło się schronić trzydziestu ludzi. Mieli prócz tego jednego Maxima Nordenfelta, który na początku bitwy strzelał z wielką gwałtownością, ale wkrótce umilkł z braku obsługi. Przeciwnicy nasi uprowadzili działo, ale

¹⁾ *Sjambok*—bat, którego Boerowie używają do poganiania zwierząt w zaprzęgu.

musieli pozostawić wózek z amunicją. Wkrótce potem cofnęli się. Posłałem natychmiast do burgerów, którzy uciekli, rozkaz połączenia się z nami, ale nie chcieli słuchać, sądząc zapewne, że znajdują lepsze stanowiska, gdy noc nadejdzie.

Był to wielki błąd. Pierścien, który ich otaczał, zacieśniał się coraz więcej z każdą chwilą i widoczne było, że wkrótce niepodobna będzie go przełamać.

Moi wysłańcy nie powracali. Ruszyłem mimo to w drogę, zabrawszy ranionych, których było mniej więcej dwunastu, pomiędzy nimi dwóch ciężko. Umieszczono ich w moim powoziku, za staraniem oficerów. Jednym ranionym był van der Merwe z eskorty prezydenta Stejna, drugim chłopiec trzynastoletni, Olivier.

Przybyliśmy pośpiesznie o zmroku do farmy Bavaria, u stóp Bothabergu. Wkrótce po przybyciu van der Merve skonał skutkiem odniesionej rany; biedny Olivier poprzedził go do grobu. Ziemia raz jeszcze została zroszona krwią dziecka!

Jedenastu moich ludzi padło na placu boju i na nieszczęście, zmuszeni byliśmy ich tam pozostawić; zabierać ich z sobą byłoby niebezpiecznie.

Pomiędzy tymi, którzy przeprowadzili się pod straszliwym ogniem nieprzyjaciela, był prezydent Stejn, członekowie rządu i pastor J. D. Kessel, z reformowanego kościoła w Harrismith..

Anglicy przepędzili cały dzień 24-ty na swoich stanowiskach. Dowiedzieliśmy się później, że miejsce naszej przemywania zajmował oddział pułkownika Rimingtona i że postradał stu ludzi w zabitych i ranionych.

Nazajutrz nieprzyjaciel zmienił swoje stanowiska. Mogliśmy wtedy pomścić i pogrzebać naszych poległych. Anglicy zajęli się tem wprawdzie, ale zrobili to niedbale, my zaś wykopaliśmy groby głębsze, niż te, które oni porobili.

W nocy 25-go trzystu, czy trzystu pięćdziesięciu burgerów przedarło się znów przez linie nieprzyjacielskie. Byli szczęśliwsi od nas i postradali w tej przeprawie tylko dwóch poległych i jedenastu ranionych. Dowodził nimi generał Wessel Wessels i komendant Mentz. Anglicy nie zdołali wydrzeć ich naszym oddziałom.

Ci zaś, którzy zostali w kraalu, gdzie się schronili, byli teraz w bardzo smutnem położeniu! Anglicy osaczali ich coraz bardziej.

Dnia 27 lutego 1902 r., w rocznicę bitwy pod Majubą, czterystu ludzi pod dowództwem komendanta Jana Meyera wpadło w ręce nieprzyjaciela ¹⁾).

Dnia 27 lutego, jakież to dzień nieszczęśliwy dla naszego narodu! - Ta data zawsze brzmiąc będzie w naszych uszach naksztalt dzwonu pogrzebowego! 27-go lutego 1881 roku stoczona została bitwa pod Majubą. W dziewiętnaście lat potem, co do dnia, ponieśliśmy straszliwą klęskę pod Paardenbergiem, gdzie generał Piet Cronje z całą swą armią zmuszony był poddać się. I tak samo 27 lutego 1902 roku nasze zdzięsiątkowane siły poniosły tę okropną porażkę, jeden z ostatecznych ciosów.

Bolesna była dla nas strata ludzi, a postradanie stad bydła było szkodą niepowetowaną; były one przeznaczone na posiłek dla naszych żołnierzy i rodzin. Dotąd, mając woły i barany, mogliśmy się chronić w miejsca niedostępne. Teraz zaś dla braku żywności było to już zupełnem niepodobieństwem.

¹⁾ Mój syn Kootie (Jakób) był w ich liczbie. W chwili gdy rozpoczynałem ten opis, powrócił on z wyspy Świętej Heleny, gdzie był więziony. Opowiedział mi, że tej samej nocy, gdy przerzynałem się przez linie nieprzyjacielskie, próbował uczynić toż samo. Ale nie mógł tego dokonać, bo zabito pod nim konia.

Położenie stawało się coraz rozpaczliwsze, byliśmy już doprowadzeni do ostateczności i pomimo całej energii i niezłomnej odwagi, ci nawet, którzy przez trzy lata nie złożyli broni, widzieli, że zbliża się chwila, w której ta broń stanie się bezużyteczną. Była to najboleśniejша z chwil, na jakie zasłużyliśmy bezwątpienia, jeżeli Opatrzność skazała nas na nie. Bądź co bądź jednak, nie mieliśmy sobie do wyrzucenia żadnej winy względem Anglii.

ROZDZIAŁ XV

Towarzyszę prezydentowi do Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

Dnia 26 tegoż miesiąca przeprowadziłem się w towarzystwie członków rządu przez rzekę Wilge w Dumnysdrift i przybyłem znów do farmy Rondtbosch. Członkowie rządu odpoczęli tam przez kilka dni. Potem pan Stein postanowił ruszyć ku stronie zachodniej Wolnego Państwa, gdzie uwijali się generałowie Badenhorst i Nieuwomodt.

Przekonany był, że gdy jego nie będzie, Anglicy przestaną dopuszczać się takich gwałtów w okolicach północno-wschodnich, bo myślał, nie bez słuszności, że nieprzyjaciel miał na celu przedewszystkiem schwywanie jego i mnie.

Zrozumiałem wtedy, że trzeba się rozstać z moim powozikiem. Pozostawiłem go w farmie, zabrawszy z niego wszystkie papiery, które ukryłem w jaskini, znajdującej się w pobliżu farmy generała Wesseła. Oddawna już były tam złożone rzeczy moje i oficerów mego sztabu, oraz amunicya.

Nazajutrz pojechałem do prezydenta Steina; a on ponowił żądanie, wyrażone już poprzednio, ażebym przyjechał z nim na zachód. Nie było to wcale moim zamiarem; pomimo to postanowiłem mu towarzyszyć i zobaczyć, w jakim stanie znajdują się oddziały, działające na zachodzie, których oddawna nie widziałem.

Ale że podróż była daleka, potrzeba mi było drugiego ubrania. Miałem właśnie posyłać po nie, kiedy mi doniesiono, że obóz angielski rozłożył się w pobliżu grotty, gdzie ukryłem mój powozik¹⁾. Zmuszony więc byłem jechać w jednym ubraniu, które miałem na sobie. Po zniszczeniu go nic nie mógłbym na zachodzie dostać nowego, chyba gdybym się zdecydował ubrać w „khaki” (materyał, z którego były mundury Anglików).

Mieliśmy wszystkiego dwustu ludzi: prezydent i członkowie rządu mieli trzydziestu ludzi eskorty, pod dowództwem komendanta H. van Niekerka; byłem ja z moim sztabem, wreszcie komendant van der Merwe z Vredefortu, który, według mego rozkazu, miał iść naprzód i przeprowić się pierwszy przez tor kolejowy.

Przeszliśmy w nocy bez wypadku kolej pomiędzy Heilbronem a Frankfurtem.

Następnej nocy (5 marca) przebyliśmy znów plant kolei pomiędzy Wolvehock i Viljoensdrift.

W chwili, kiedy byliśmy zajęci przecinaniem drutów telegraficznych, nieprzyjaciel strzelił do nas z karabinów z odległości pięciuset do sześciuset kroków, ale nie wyrządził nam żadnej szkody. Kiedyśmy już oddalili się trochę, strzelił jeszcze za

¹⁾ W jakiś czas potem dowiedziałem się, że to była kolumna Rimingtona. Dnia 4 marca Anglicy odnaleźli naszą jaskinię i zabrali wszystko, co w niej było, papiery i ubranie.

nami z Maxima (Katlachtera), ale również bezskutecznie.

Poszliśmy dalej przez Paryż i Vredefort w kierunku Bothaville. Dochodząc do tej wioski, wpadliśmy na linię blokhauzów, ciągnącą się od Kroonstadu do rzeki Valsch przez Botaville¹⁾. Przebyliśmy w tej miejscowości dwa dni z rzędu, w ciągu których moi eklererzy zabrali nieprzyjacielowi osiemnaście koni w doskonałym stanie. Do ostatniej chwili słyszałem ciągle, że nikt naokoło mnie nie tracił czasu. Szczególnie ci waleczni, którymi dowodzili Théronowie.

W nocy z 12 na 13 marca przeszliśmy przez linię blokhauzów, około pięciu mil na wschód od Bothaville. Ale mieliśmy trochę niepokoju. O pięćdziesiąt kroków od linii szyldwach zawołał na lewo od nas:

— Stój! Kto idzie?

Zawołał poraz drugi i jednocześnie dał ognia. Siedmiu, czy ośmiu szyldwachów zrobiło toż samo i w mgnieniu oka cała linia nieprzyjacielska zaczęła nas zasypywać strzałami. Strzelali dopóki nie oddaliliśmy się na tysiąc pięćset kroków. Pomimo tego całego hałasu wyszliśmy bez żadnej szkody.

Nie była to jednak ostatnia przeszkoda, bo trzeba było jeszcze raz przeprować się przez rzekę Valsch, gdyż prezydent Stejn objawił zamiar połączenia się z generałem de la Reyem, ażeby się poradzić o swoje oczy doktora, będącego przy jenerale.

Wzrok jego zesłabł bardzo w ciągu ostatnich paru tygodni i prezydent sądził, że starania doktora van Remmenkampfa zdołają stan jego poprawić.

¹⁾ Druga linia Kroonstad — Driekopies — rzeka Vaal, była przerwana.

Rzeka Valsch! Ileż razy szliśmy nad jej brzegami i przeprawialiśmy się przez nią! A trzeba było uczynić to znów i w warunkach najniebezpieczniejszych. Wiedzieliśmy, że przednia straż nieprzyjacielska jest w pobliżu Commandodrift, gdzie mieliśmy się przeprawić, i że oprócz tego, wszystkie brody są strzeżone przez Anglików. Wydobył nas z kłopotu pewien pasterz, Peterson, który, znając dobrze okolicę, przeprowadził nas przez bród dostępny nawet dla pieszych. Prąd wody był dość gwałtowny, a przeciwległy brzeg najeżony skałami poszarpanymi. Mimo to zdołaliśmy się przeprawić bez straty. Było to 16-go marca. Wkrótce potem przybyliśmy do Witpoort, a nazajutrz połączyliśmy się z generałem de la Reyem.

Bywają w życiu smutne chwile, kiedy człowiek zgnębiony szuka pociechy i wsparcia, jak tonący wątlej łódki, w której pokłada całą swą nadzieję. Prezydent Steijn i ja byliśmy właśnie w takiej bolesnej chwili życia, i muszę wyznać, że uczuliśmy się szczęśliwi, pomimo wszystkiego, widząc, że nas przyjęto z otwartymi rękami. Prezydent odpowiedział na to przyjęcie słowami, pełnymi patryotycznego zapału. Przybyliśmy wkrótce po szczęśliwych zwycięstwach de la Reya nad generałami von Donop i lordem Methuenem. A radość burgherów, choć niewiele dodała nam ducha, przyniosła jednak pociechę.

Doktor von Rennenkampf obejrzał oczy prezydenta i uznał konieczność kilkodniowej kuracji. Pan Steijn zdecydował się pozostać.

Ja odjechałem trzeciego dnia razem z moim sztabem, ażeby połączyć się z generałem Badenhorstem, który był w okolicach Boshofu. Chciałem koniecznie widzieć się z nim i z generałem Nieuwondt, ażeby im przedstawić projekt połączenia ich oddziałów z moimi dla uderzenia z większym;

siłami na pierwszą kolumnę angielską, jaka nam wejdzie w drogę.

Dnia 25 marca przybyłem do generała Badenhorsta do Gannapanu, około trzydziestu mil na północo-wschód od Boshofu. Poleciałem mu pościągać oddziały zanadto porozprasane i posłałem generałowi Nieuwonwdt rozkaz przybycia do mego obozu ze wszystkimi ludźmi, których miał czterystu pięćdziesięciu ¹⁾.

Zanim dokonana się ta koncentracja, dostałem list od prezydenta Stejna z wiadomością, że otrzymał pismo od M. S. W. Burgera, tymczasowego prezydenta Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej. Zawiadamiał on, że jest w tej chwili w Kronstadzie i pragnąłby się widzieć z członkami rządu Orańskiego. Lord Kitchener nadesłał mu kopię korespondencyi, wymienionej między rządem holenderskim a angielskim.

Rząd holenderki uważał się za upoważnionego do wystąpienia w roli pośrednika. Ponieważ Boerowie i reszta walczących nie mieli już możliwości porozumiewać się ani z rządem angielskim, ani ze swoją delegacją w Europie, rząd holenderski ofiarowywał się, żeby za zgodą Anglii zaproponować delegacji boerskiej udanie się do Afryki Południowej z gładem bezpieczeństwa, dla naradzenia się z rodakami nad obecnem położeniem: poczem delegaci mieli powrócić natychmiast do Europy, zaopatrzeni w pełnomocnictwo do zawarcia pokoju.

Lord Landsdowne odpowiedział, że uznaje w zupełności humanitarne pobudki Holandyi, ale

¹⁾ Komendant Jacobs był w pobliżu Kimberleyu, komendant Bester koło Brandfortu, komendant Jakób Théron koło Inaldeelu, komendant Flemming (zastępujący komendanta von Bergena) koło Hoopstadu, a komendant Piotr Erasmus niedaleko od generała Badenhorsta.

nie może odstąpić od powziętego postanowienia, ażeby nie dopuszczać mieszania się żadnego obcego mocarstwa. Deputacya może sama zażądać gleytu bezpieczeństwa od rządu angielskiego, ale wyrażając urzędownie cel tego żądania. W przeciwnym razie niepodobnaby rządowi przystać na tę propozycyę.

Na propozycyę holenderską lord Landsdowne odpowiedział prócz tego, że rządowi angielskiemu nie wiadomo dokładnie, czy delegacya będzie miała dostateczny wpływ na przywódców boerskich i na mieszkańców Afryki Południowej. Minister sądzi, że prawo prowadzenia układów należy raczej do prezydenta Stejna w imieniu Wolnego Państwa Orańskiego i do prezydenta Burgera w imieniu Transwaalu. Najlepszem byłoby, zdaniem ministra, porozumienie się przywódców boerskich wprost z naczelnym wodzem armii angielskiej w Afryce Południowej, któremu rząd angielski wydał polecenie natychmiastowego zakomunikowania sobie propozycji pokojowych, jakieby mu zostały uczynione.

Lord Landsdowne popierał to ostatnie zdanie uwagą, że jeżeli układy mają być prowadzone, lepiej, żeby to było w Afryce Południowej, niż w Europie, bo upłynęłoby w tym wypadku trzy miesiące, zanimby delegacya z Europy mogła się dostać do Boerów, a przez ten czas walka trwałaby dalej, sprowadzając nieuniknione cierpienia.

Do tej korespondencji prezydent Stejn dodawał swoją opinię, i uwiadamił mnie, iż uważa list lorda Kitchenera za nieurzędowe, lecz wyraźne wezwanie przywódców boerskich do rozpoczęcia układów.

Prezydent Stejn zażądał i otrzymał od lorda Kitchenera list bezpieczeństwa i razem z członkami rządu udał się do Kroonstadu, żeby ułożyć stanowczo dzień i miejsce spotkania.

Prezydent Burger dodawał, że napisał do

lorda Kitchenera, iż gotów jest przedstawić wypracowany razem z członkami rządu Wolnego Państwa Orańskiego projekt układów o pokój.

W chwili, kiedy otrzymaliśmy te listy, propozycje pokojowe zostały już przedstawione i od tej pory niepodobna nam było odmówić swego udziału.

Rząd Wolnego Państwa Orańskiego żałował, że rząd transwaalski nie zażądał wcześniej listu bezpieczeństwa do przebycia linii angielskich, ażeby oba rządy mogły poprzednio naradzić się, zanim przystąpią do układów. Mieliliśmy zupełne zaufanie do rządu transwaalskiego, ale musieliśmy uważać jego postępowanie za niepolityczne, ponieważ rząd orański zmuszony był jednocześnie rozważać położenie z Transwaalem i przesłać projekt zawarcia pokoju lordowi Kitchenerowi. To też w odpowiedzi na list prezydenta Burgera pan Stejn zaproponował mu spotkanie.

Dnia 5 kwietnia dostał list od prezydenta Burgera, naznaczający mu Klerksdorp na miejsce spotkania. Glejt bezpieczeństwa, wydany przez lorda Kitchenera dla prezydenta Stejna i członków rządu orańskiego, był przy liście załączony.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Układy rozpoczęte w celu zawarcia pokoju.

Prezydent wyjechał do Klerksdorpu z generałem de la Reyem, który, jako członek rządu transwaalskiego, powinien być przy tem obecny. Przyjechali 9 kwietnia. Członkowie obu rządów spotkali się tego samego dnia po południu. Obecni byli ze strony Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej:

Prezydent tymczasowy S. W. Burger, głównodowodzący Ludwik Botha, sekretarz stanu F. W. Reitz, generał de la Rey, generałowie J. Meyer, i M. J. C. Krogk. Prokurator państwowy L. Jacobs należał także do zgromadzenia, pomimo, że nie był członkiem rządu.

Ze strony Wolnego Państwa Orańskiego obecni, byli:

Prezydent Stejn, naczelny wódz K. R. de Wet, pomocnik naczelnego wodza J. B. Herzog (sędzia), sekretarz stanu W. J. C. Brebner—i generał C. H. Olivier.

Postanowiono nie spisywać protokołu z posiedzenia. Główne zarysy, o ile mi przychodzą na pamięć, były następujące: Na początek odmówiona została modlitwa, poczem prezydent tymczasowy Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej zagaił posiedzenie. Oświadczył, że zakomunikowanie obu państwom korespondencyi, wymienionej między rządem angielskim a holenderskim uważa za wezwanie do zawarcia pokoju, ale zanim się przystąpi do ułożenia koniecznych propozycji, należy zbadać położenie.

Wtedy dano głos głównodowodzącemu Ludwikowi Botha, generałowi de la Reyowi i mnie, żeby zbadać stan rzeczy, następnie prezydent Burger zapytał, w jaki sposób mamy postępować w razie, gdybyśmy zażądali widzenia się z lordem Kitchenerem. Prezydent zapytał Stejną o jego zdanie odnośnie do propozycji, uczynionej poprzedniego roku rządowi orańskiemu przez rząd transwaalski. Prezydent Stejn odpowiedział, że zdanie jego jest takie, jak w czerwcu r. 1901. W owym czasie oba rządy postanowiły uroczyście bronić zasady niepodległości.

Uważał zatem, że jeśliby Anglicy nie zgodzili się na to, trzeba prowadzić wojnę dalej. Prezydent

Stejn dodał na zakończenie, że woli się poddać bez zastrzeżeń, niż uciekać się do wykrętów.

Nazajutrz rano dano głos panom: L. J. Meyerowi, J. C. Kroghowi, sekretarzowi stanu Reitzowi, sędziemu Hertzogowi i mnie. Sędzia Hertzog wystąpił z propozycją, popartą przez generała C. H. Oliviera i przyjętą tegoż samego dnia po roztrząśnięciu jej przez komisję, złożoną z dwóch prezydentów, sekretarza Reitza i samego sędziego Hertzoga. Treść jej była taka:

„Rządy Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej i Wolnego Państwa Orańskiego, zebrawszy się dla rozważenia przesłanej przez Jego Ekscelencyę lorda Kitchenera kopii korespondencji, wymienionej między rządami Jego Królewskiej Mości króla angielskiego i Jej Królewskiej Mości królowej holenderskiej, a odnoszącej się do pożytku, jakiby wyniknął z dania rządów obu Rzeczypospolitych możliwości porozumienia się z ich upoważnionymi agentami w Europie, którzy posiadają ich pełne i całkowite zaufanie:

„Zważywszy pojednawcze usposobienie, które zdaje się objawiać rząd Jego Królewskiej Mości króla angielskiego, i pragnienie, wyrażone przez lorda Landsdowne w imieniu tegoż rządu, położenia końca wojnie:

„Sądząc, że nadeszła odpowiednia chwila do okazania raz jeszcze chęci uczynienia wszystkiego, co jest w ich mocy dla położenia kresu wojnie, postanowiły:

„Przedstawić Jego Ekscelencyi lordowi Kitchenerowi, uważanemu za przedstawiciela rządu Jego Królewskiej Mości króla angielskiego, propozycje mogące stanowić podstawę do następnych układów i do zawarcia pokoju tak upragnionego.

„W następstwie czego:

„Oba rządy wyraziły zdanie, że dla doprowadzenia prędej do końca układów i dla uniknięcia wszelkiego nieporozumienia, koniecznem jest prosić Jego Ekscelencyę lorda Kitchenera o widzenie się w miejscu i czasie przez niego oznaczonym, ażeby przedstawiciele Państwa Orańskiego i Transwaalu mogli się z nim porozumieć.

„Przy zobaczeniu się możliwem będzie roztrząśnięcie z lordem Kitchenerem wszystkich ważniejszych punktów i dojście do tak pożądanego rezultatu.”

Po tych rozprawach został wysłany przez obu prezydentów list do lorda Kitchenera z tą propozycją. List zaadresowano do Pretoryi.

Po południu członkowie obu rządów zgromadzili się, ażeby rozważyć propozycje, jakie zamierzają przedstawić rządowi brytańskiemu. Po długich rozprawach postanowiono, według zdania generała de la Reya, popartego przez prokuratora L. Jacobsa, powierzyć ułożenie projektu tych propozycji komisji, złożonej z obu prezydentów, sekretarza stanu Reitza i sędziego Hertzoga. Nazajutrz rano komisya odczytała swój raport, który zyskał uznanie całego zgromadzenia.

Jako dalszy ciąg listu, wyprawionego w przeddzień do lorda Kitchenera przez obu prezydentów i po rozważeniu ich zamiaru przedstawienia rządowi brytańskiemu propozycji pokojowych, komisya przedłożyła zgromadzeniu projekt następujący:

I. Zawarcie wieczystego przymierza pokojowego i przyjacielskiego na podstawie:

- a) Zgody co do związku celnego.
- b) Połączenia urzędu poczt, telegrafu i dróg żelaznych.

c) Układów dotyczących prawa głosowania.

II. Zburzenie wszystkich fortów.

III. Sądu polubownego, w razie nieporozumień pomiędzy umawiającemi się stronami, złożonego z równej liczby członków, wybranych z pomiędzy poddanych każdej ze stron.

IV. Jednakowe prawa nauczania w językach angielskim i holenderskim.

V. Wzajemna amnestya.

Na rannem zebraniu wyprawiono do lorda Kitchenera list zawierający te propozycye.

Sędzia Hertzog i wódz naczelny, generał Ludwik Botha, zabrali następnie głos. Po mowie generała, która zrobiła głębokie wrażenie, generał Wilson z załogi w Klerksdorpie przybył z zawiadomieniem, że lord Kitchener zgadza się na proponowane spotkanie i że zgromadzenie może tegoż jeszcze wieczora wyjechać do Pretoryi.

Dnia 11-go kwietnia wieczorem ruszyliśmy w drogę, a nazajutrz rano zostaliśmy przyjęci przez lorda Kitchenera i na tem przyjęciu wręczyliśmy mu nasze propozycye.

Lord Kitchener zażądał innego projektu obu rządów, stawiając za zasadę, że propozycya, odnosząca się do zachowania niepodległości obu krajów, nie może być przedstawiona przez prezydentów, poczem ci ostatni prosili go o przesłanie telegrafem ich propozycji rządowi angielskiemu. Lord Kitchener przystał na to i wyprawił następujący telegram:

„Od lorda Kitchenera.

„Pretorya, 12 kwietnia 1902 r.

„Do Sekretarza Stanu.

„Przedstawiciele Boerów życzą objawić rządowi Jego Królewskiej Mości swoje pragnienia zawarcia pokoju; są zdecydowani prosić rząd angielski

ski o zakończenie kroków nieprzyjacielskich i zawarciu traktatu pokojowego. Są oni skłonni do układu, który—ich zdaniem—zapobiega w przyszłości wybuchowi wojny pomiędzy nimi a rządem angielskim. Są przekonani, że cel ten da się osiągnąć pod następującymi warunkami:

1. Uregulowanie prawa głosowania powszechnego.
2. Jednakowe prawa nauczania w języku angielskim i holenderskim.
3. Związek celny.
4. Zburzenie wszystkich fortów w Transwaalu i w Wolnem Państwie Orańskim.
5. Sąd rozjemczy w razie jakichkolwiek targów, z zastrzeżeniem, że tylko poddani obu państw mogą być członkami tegoż sądu.
6. Wzajemna amnestya."

W poniedziałek, 15 kwietnia, lord Kitchener przysłał obu rządów kopię depeszy, którą otrzymał od sekretarza stanu:

„Od Sekretarza Stanu.

„Londyn, 13 kwietnia 1902 r.

„Do lorda Kitchenera.

„Rząd Jego Królewskiej Mości podziela całym sercem szczerze pragnienia przedstawicieli Boerów i sądzi, że obecne układy zdołają doprowadzić do celu; ale uczynił już raz formalną deklarację i uważa teraz za obowiązek powtórzyć ją, że w żadnym razie nie zgodzi się na traktowanie propozycji, opartych na zasadzie niepodległości byłych Rzeczypospolitych. Byłoby do życzenia, ażeby pan i Milner zechcieli wytłómaczyć to przedstawicielom

Boerów. Należy ich zachęcić do przedstawienia nowych propozycji, które przyjmujemy chętnie.”

Należy nadmienić, że w tej depeszy wymienione jest nazwisko lorda Milnera. Do tej pory mieliśmy do czynienia tylko z lordem Kitchenerem, ale przy następnych rozprawach miał być obecny i lord Milner.

Obaj przedstawiciele rządu brytańskiego nalegali na nas o dalsze prowadzenie układów, jak-gdybyśmy już odstąpili od warunku niepodległości, na którego wyrzeczenie się nie mogliśmy przystać.

Po kilkakroć powtarzaliśmy lordowi Kitchenerowi, że nie możemy rozbierać propozycji, opartych na podstawie zrzeczenia się niepodległości obu Rzeczypospolitych bez zgwałcenia praw Konstytucji, i że według brzmienia jej przepisów, sam naród tylko mógłby rozstrzygnąć tę kwestję.

Objaśniliśmy go, że jeżeli rząd angielski nie odstąpi od swego żądania, my możemy jedynie przedstawić je narodowi.

Po otrzymaniu tego objaśnienia lord Kitchener wyprawił następny telegram:

„Od lorda Kitchenera.

„*Pretorya, 14 kwietnia 1902.*

„Do Sekretarza Stanu.

„Nowa przeszkoda wystąpiła w czasie układów; przedstawiciele Boerów oświadczają:

„1^o że konstytucja obu Rzeczypospolitych nie daje im prawa przyjęcia propozycji pokoju, oparte na podstawie zrzeczenia się przez nich niepodległości, i że:

„2^o gdyby rozporządzili się własnowolnie co do tych propozycji, postawiliby się w fałszywym położeniu względem kraju.

„Niemniej jednak, gdyby rząd Jego Królewskiej Mości po za kwestyą zrzeczenia się niepodległości—która mogłaby być rozstrzygnięta później—zechciał przedstawić inne propozycje, przedstawiciele boerscy oznajmili, że nie wyrażając swego zdania, mogliby przedstawić je do uznania obu narodów.”

Na odpowiedź trzeba było czekać aż do 16-go kwietnia; tego dnia nadszedł telegram tej treści:

„Od Sekretarza Stanu.

„*London, 16 kwietnia 1902.*

„Do lorda Kitchenera.

„Dowiedzieliśmy z wielkiem zadziwieniem o treści odpowiedzi przedstawicieli Boerów. Skutkiem wyrażonego przez nich żądania postanowione zostało spotkanie się z nimi; powinni byli przypomnieć sobie nasze poprzednie deklaracje i pamiętać, iż niepodobna nam przyjmować propozycji, opartych na odnowieniu niepodległości obu państw południowo-afrykańskich.

„Mielśmy prawo sądzić, że przedstawiciele Boerów wyrzekli się już myśli o niepodległości i że przedstawiają warunki odnoszące się do złożenia broni przez ich oddziały.

„Oznajniają teraz, że Konstytucya nie daje im władzy rozstrząsania propozycji, z których wyłączona byłaby zasada zachowania niepodległości i zapytują następnie, jakie byłyby nasze obecne warunki, pozostawiając na później kwestyę niepodległości.

„Ten sposób postępowania nie wydaje nam się odpowiednim do przerwania w jak najkrótszym możliwie czasie kroków nieprzyjacielskich, które pochłonyły tyle istnień ludzkich i pieniędzy.

„Pragniemy gorąco, jak i przedtem, ażeby położono koniec rozlewowi krwi, chcemy przyspieszyć zawarcie pokoju, ażeby odżyła pomyślność w obu krajach, tak ciężko doświadczonych przez wojnę.

„Pan i lord Milner jesteście upoważnieni do przypomnienia Boerom propozycji, którą pan uczyniłeś generałowi Botha przed rokiem, i nadmienić, że mogliśmy usprawiedliwić postawienie dziś warunków cięższych ze względu na znaczne zmniejszenie sił, które nam stawiają opór i ofiar, do których nas zmuszono od czasu odrzucenia propozycji, uczynionej generałowi Botha.

„Pragnąc jednak trwałego pokoju, jesteśmy zdecydowani przyjąć ogólne poddanie się z częściowymi modyfikacyami, co do których porozumienie się będzie możliwe.”

Łatwo zrozumieć, że rządy państw Południowo-Afrykańskich nie mogły przyjąć tej propozycji rządu angielskiego, która niweczyła niepodległość obu Rzeczypospolitych i to właśnie wykazał prezydent Stejn jeszcze raz.

Ułożyliśmy wtedy z lordem Kitchenerem i lordem Milnerem, że pojedziemy zapytać o zdanie naszych wojsk i zwołamy zebranie, ażeby poznać życzenia burgerów. Na każdym zebraniu mieli być wybrani delegaci, mający upoważnienie do rozważenia, co możnaby uczynić w imieniu ludu obu Rzeczypospolitych. Zebranie delegatów miało się odbyć d. 15-go maja w Vereeniging.

Dnia 18-go kwietnia wyjechaliśmy z Pretorii, zaopatrzeni w listy bezpieczeństwa dla nas i dla tych, którym mamy je doreczyć. Naczelnym wódcą Botha, generałem Delarey i ja pojechaliśmy do naszych oddziałów.

Pojechałem na początek do Prampkopu do burgerów z Vrede. Tam spotkałem 22-go kwietnia

jenerała Wessela Wesselsa z jego oddziałami. Pomimo nędzy, jaką cierpiał naród, żywiąc się tylko mięsem zwierząt, którym zagrażała śmierć z głodu, burgerzy postanowili nie zgodzić się na pokój, chyba pod warunkiem uznania naszej niepodległości. Gdyby Anglicy nie przystali na to, burgerzy postanowili prowadzić wojnę do końca.

Na tem zebraniu został obrany prezydującym członek parlamentu W. Wessels, a sekretarzem Piotr Schravezande. Delegatami mianowani zostali komendanci: Ross, Herman Botha i Ludwik Botha (syn Filipa Bothy).

Dnia 24-go kwietnia zwołałem drugie zebranie w Drupfontein w obwodzie Betleemskim, złożone z burgerów komendanta Franza Jacobsa, Meurssa i Bruwera. Prezydującym tego zebrania był J. H. Naudé, sekretarz J. H. B. Wessels. Zachowanie niepodległości zostało zagłosowane jednomyślnie, a na delegatów wybrano komendantów: Franza Jacobsa i Bruwera.

Dnia 26-go kwietnia zwołałem na zebranie oddziały jenerała Prinslova. Prezydującym został Jan Schalkwijk, sekretarzem D. J. Malan. Tak jak w poprzednich zebraniach, zachowanie niepodległości zastrzeżono jednomyślnie. Jako delegatów wybrano jenerała Michała Prinslov, komendantów Rautenbacha i J. J. van Niekerka.

Dnia 29-go kwietnia byłem w farmie Roodekraal u burgerów komendanta Cittiersa (Kroonstad), Bestera (Betleem), Mentza i van Collera (Heilbron). Prezydującym został D. W. Stejn (członek Volksraadu), a sekretarzem S. J. M. Wessels. Ocalenie niepodległości zastrzegali wszyscy obecni. Jako delegatów naznaczono komendantów: van Collera, Bestera i Mentza.

W farmie Weltevrede zwołałem 1-go maja piąte zebranie, z oddziałów jenerała Johannesesa Hattingha. Prezydującym był Jan Lutegan, sekreta-

rzem Johannes C. Pietersen; delegowani: generał Hattingh i komendant Filip de Vos. Głosowano jednomyślnie za niepodległością.

Dnia 2-go maja byłem obecny na szóstym zebraniu, w którym wzięły udział oddziały generała C. C. Fronemana. Zebranie to odbyło się w Schaapplats. Jan Maree był prezydującym, Dawid Ross sekretarzem. Powzięto też samo postanowienie. Delegatami byli generał Froneman, komendanci F. Cronje i J. J. Kren.

Z Schaapplatsu pojechałem do Daretsdropu, gdzie 5-go maja spotkałem się z oddziałem generała J. Brandsa. Prezydującym był C. Smith, sekretarzem W. J. van Selm, delegatami: generał Brands i komendant J. Rheeder. Tak samo, jak na tamtych zebraniach, postanowiono obstawać za niepodległością.

Pojechałem następnie do Bloemfonteinu, a ztamtąd kolejną do Brandfortu, z kąd wyjechałem do farmy Quaggashock.

Dnia 11-go maja odbyłem ósme moje zebranie z oddziałem generała C. C. J. Badenhorsta. Wybrano na prezydenta N. D. Gildenhnisa, na sekretarza H. M. G. Davisa. Na delegatów: generała Badenhorsta, komendantów: A. J. Bestera i Jacobsa. Było to ostatnie moje zebranie. I na niem głosowano za niepodległością.

Pomocnik naczelnego wodza Hertzog (sędzia) pojechał do wojsk komendantów van der Merwe i van Niekerka (z Wredefortu i Paryża) Fleminga (Hoopstad, Nagel i część z Kroonstadu) do generała Nieuwoudt (Fawresmith, Philipolis i Jacobdal). Na zebraniach tych oddziałów wybrano następujących delegatów: generała Nieuwoudt i komendantów Munnicka Hertzoga, J. van der Merwe, C. van Niekerka, Flemminga, A. J. Resterera, F. Jacobsa, H. Pretoriusa i veldkorneta Kruitzingera. Na wszystkich zebraniach burgerowie domą-

gali się ocalenia niepodległości. Komendant van Niekerk został delegatem eskorty prezydenta Stejna.

Ułożono z lordem Kitchenerem, że jeżeli oficerowie jakiego oddziału zostaną wybrani na delegatów, między tym oddziałem a Anglikami nastąpi zawieszenie broni; rozejm miał trwać przez cały czas pobytu oficerów na zebraniu w Verceniging.

Lord Kitchener został uwiadomiony o dniu wyjazdu delegatów; posłałem mu 25-go kwietnia następujący telegram do Pretoryi:

Betleem, 25-go kwietnia 1902.

„Do Jego Ekscelencyi lorda Kitchenera.

„Główna kwatery

w Pretoryi.

„Zwołałem zebranie w obwodach Vrede i Betleemie na północo-wýchód od linii blokhauzów Fonriésburg—Betleem—Harrismith. Wybrani delegaci generał Wessels i pewna liczba komendantów.

„Oficerowie ci opuszczają swoje oddziały 11-go maja i według naszej umowy, rachuję na zawarcie zawieszenia broni między ich oddziałami aż do chwili powrotu tychże oficerów z Vereinigungu. Proszę o udzielenie pozwolenia dla każdego z nich na zabranie z sobą jednego człowieka.

„Wasza Ekscelencya zobowiąże mnie bardzo, jeżeli odpowie telegraficznie do Kafferskopu, w obwodzie Betleemskim, gdzie czekam na odpowiedź.

„Podpisano: *K. R. de Wet.*

„Naczelný wódz sił zbrojnych
„Wolnego Państwa Orańskiego.”

Otrzymałem od lorda Kitchenera taką odpowiedź:

„Pretorya.

„Jenerał de Wet

„w Kafferskopie.

25 kwietnia.

„W odpowiedzi na telegram, zgadzam się na rozejm z oddziałami, których oficerowie będą na naradach od 11-go maja i zezwalam, ażeby każdy delegowany, według pańskiej propozycji, przybył w towarzystwie jednego żołnierza.

„Byłoby mi przyjemnie, gdybyś pan przysłał oficera przynajmniej na dwa dni przed zebraniem z wiadomością o liczbie delegatów dla poczynienia odpowiednich przygotowań.

„Podpisano: *Lord Kitchener.*”

Dnia 11-go maja posłałem telegram do lorda Kitchenera z zawiadomieniem, że — ponieważ wszyscy moi jenerałowie i wyżsi oficerowie zostali mianowani delegatami—może się zgodzić na ogólne zawieszenie broni, poczynawszy od d. 11-go maja.

Depesza ta zawierała co następuje:

„Jenerał de Wet

„do Jego Ekscelencji lorda Kitchenera w Pretoryi.

11 maja 1902.

„Dla reprezentowania oddziałów z Hoopstadu, Boshofu, części oddziału z Winburga i z Bloemfonteinu, które leżą na zachód od drogi żelaznej, wybrano następujących oficerów:

„1^o Jenerała C. Badenhorsta.

„2^o Komendanta J. Jacobsa.

„3^o Komendanta A. Bestera.

„Wynika z tego, że wszyscy moi generałowie i wyżsi oficerowie zostali wybrani na delegatów na zebranie 15-go maja w Vereenigingu; zawieszenie broni zaczyna się dziś (11-go maja 1902) we wszystkich obwodach Wolnego Państwa Orańskiego i trwać będzie do dnia oznaczonego po ukończonem zebraniu.

„Odpowiedź, wysłana przed południem, zastała mnie w Brandforcie.

Naczelny wódz sił zbrojnych
„Wolnego Państwa Orańskiego.”

W odpowiedzi nadszedł telegram następującej treści:

5
Pretorya, 12 maja.

„Jak już było umówione, wydałem rozkaz, ażeby począwszy od 13-go b. miesiąca nie atakowano oddziałów podczas nieobecności dowódców, będących na zebraniu w Vereenigingu, pod warunkiem, że i te oddziały nie będą atakować naszych wojsk. Umowa ta nie stosuje się do patrolów, ujętych w pobliżu linii angielskich.

Podpisano:
Lord Kitchener.

Zadziwiło mnie, że lord Kitchener liczył zawieszenie broni od 13-go maja, kiedy jego telegram z 25 kwietnia zgadzał się na datę 11 maja. Dowiedziałem się od oficerów z Heilbronu, Wrede i Betleemu, których spotkałem 14 maja wieczorem na dworcu w Wolvehock, że kolumny angielskie działały w swoich okręgach 11, 12, 13 i 14 maja. Ja zaś rozkazałem moim oficerom cofać się, gdyby nieprzyjaciel się posuwał.

Przez te kilka dni popalono domy, uprowadzono trzody, zniszczono zboże i kukurydzę, burgerów pobrano do niewoli, jednego burgera zabito. Nieporozumienie to było godne pożałowania, bo szkody, wyrządzone wówczas, nie zostały nigdy wynagrodzone.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Postanowienie przedstawicieli narodu. — Koniec wojny.

Dnia 15 maja rano przybyłem do Vereeniging z kilku delegatami Wolnego Państwa Orańskiego; inni przyjechali wcześniej, jak i trzydziestu delegowanych z Transwaalu, pomiędzy którymi byli generał Ludwik Botha i generał de la Rey.

Prócz tego byli obecni: tymczasowy prezydent Burger, prezydent Stejn, członkowie rządu obu Rzeczypospolitych i generał J. C. Smuts z Kolonii Przyładkowej.

Co mnie martwiło najwięcej, to choroba prezydenta Stejna, który leczył się od sześciu tygodni. Doktor van der Merwe leczył go od przybycia do Pretorii i powiedział, że jeżeli będzie obecny na posiedzeniach, stan jego się pogorszy. Zaproponował, że go zabierze do swego domu w Krügersdorpie, ażeby go tam pielęgnować.

Wiadomość ta była dla nas wielkim ciosem. Co się z nami stanie, jeżeli na zebraniach nie będzie prezydenta Stejna? Obecność jego wydawała się nam niezbędną, bo był lubiony przez wszyst-

kich i mieliśmy go za niepospolitego męża stanu. Można go uważać za wzór człowieka, który spełnił obowiązek względem kraju i współobywateli. Żadne cierpienie nie mogło go pokonać i znosił wszystko, pracując dniem i nocą, w różnych okolicznościach, zawsze zachowując spokój i pogodę umysłu. Cierpiał za kraj i walczył w jego obronie aż do chwili, gdy choroba powaliła go słabego, jak dziecko. Ale jeżeli ciało zesłabło, duch zyskał jeszcze na sile i mężstwie.

Tylko dwa razy prezydent był na posiedzeniach, i 29 maja, zanim delegowani powzięli postanowienie, zmuszony był wyjechać do Krügersdorpu z doktorem von der Merwe.

W chwili gdy to piszę, sześć miesięcy upłynęło od tej pory. W czasie, o którym wspominał, prezydent Stejn leżał na łożu boleści; to też cieszę mnie wiadomością; otrzymana teraz zdala od ojczyzny, w Holandyi, że lekarze nie stracili nadziei uleczenia go.

Dnia 15 maja 1902 r. rano delegaci rozpoczęli swoje ważne prace. Przez trzy dni roztrząsając położenie, mianowali komisję, złożoną z następujących osób:

Głównodowodzący generał Ludwik Botha — naczelny wódz K. R. de Wet — pomocnik Głównodowodzącego generał Delarey — pomocnik naczelnego wodza sędziego J. C. Smuts. Członkowie tej komisji mieli przeprowadzić układy z lordem Kitchenerem i z lordem Milnerem.

Przeprowadziwszy dyskusję z przedstawicielami rządu angielskiego, komisya złożyła przedstawicielom rządu obu Rzeczpospolitych raport co do wyniku rozpraw.

Dnia 31 maja postanowiono głosować nad propozycją rządu angielskiego. Był to już koniec

niepodległości Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej i Wolnego Państwa Orańskiego.

Na samą myśl tego postanowienia boleść widoczna była na wszystkich twarzach. Postanowienie było tem smutniejsze, że sześćdziesięciu przedstawicieli obu Rzeczypospolitych miało wyrazić swoje zdanie przez *tak*, lub *nie*. Propozycja Anglii równała się ultimatum.

Od tej chwili co nam pozostawało do uczynienia?

Prowadzić dalej wojnę? Była to smutna perspektywa, bo w tej wojnie wytopionoby nasze żony i dzieci, a prócz tego głód nam zagrażał.

Mogliśmy jeszcze przenieść wojenne działania w okolice Boshofu i Hoopstadu (w obwodzie generała Badenhorsta), albo w te strony, gdzie byli generałowie Braud i Nieuwomodt; mogliśmy tam rzeczywiście zaopatrzyć nasze oddziały w stada wołów i baranów, zabierając je Anglikom. W tych okolicach nie było już kobiet, ani dzieci, i walczący mogli mieć wolne i obszerne pole do działania bądź w granicach tych obwodów, bądź w kolonii, gdzie mogli zdobyć potrzebną żywność.

Położenie mniej korzystnie przedstawiało się w innych stronach Wolnego Państwa Orańskiego. W obwodach północno-wschodnich i północnych (Ladybrand, Winburg, Fiksburg, Kroonstad, Heilbron, Betleem, Harrismith i Vrede) było jeszcze dużo rodzin. Niepodobna było wysłać ich ku Boshofowi i Hoopstadowi, ani do Kolonii Przyładkowej, a gdyby oddziały, zagrożone głodem, opuściły swoje właściwe obwody, musiałyby pozostawić kobiety i dzieci bez możliwości zaopatrzenia się w żywność.

Takie było położenie.

W Wolnem Państwie myśleliśmy przez chwile pozostawić prawo wyrzeczenia się niepodległości

ludziom, mającym żony i dzieci. Mogliby tym sposobem uratować się od głodu. Ale musieliśmy odrzucić ten sposób, który pozbawiał nasze oddziały zbyt wielkiej liczby walczących. Zresztą tym sposobem mogliśmy uratować nasze domy rodzinne, ale nie zabezpieczylibyśmy od głodu tych, którzyby walczyli dalej — bo wielu naszych nie mogłoby przejść do Kolonii Przylądkowej dla braku koni.

We wschodniej części Transwaalu znaczna liczba walczących nie miała już koni; ci, którzy je mieli, dostaliby się niezawodnie do niewoli, bo ich konie nie były już zdolne do znoszenia trudów. Prócz tego liczba walczących zmniejszyła się bardzo; mieliśmy jeszcze dziesięć tysięcy ludzi w Transwaalu, sześć tysięcy w Państwie Orańskim, co w połączeniu z czterema tysiącami w kolonii Przylądkowej, czyniło razem dwadzieścia tysięcy ludzi zdolnych do boju. Bylibyśmy prowadzili wojnę dalej, gdyby wiadomości, nadeszłe z kolonii Przylądkowej, nie były tak złe. Ale los wszędzie zwrócił się przeciwko nam. Przyszłość naszej ojczyzny przepadła.

Można zrozumieć, jak musieliśmy cierpieć w Vereeniging, rozważając chłodno położenie. Każdy odmalowywał w sposób mniej lub więcej żaloszry nędzę swojego obwodu. Cóż mogliśmy dalej uczynić? Trzeba było zdobyć się na rezygnację, przyjmując propozycje angielskie, złożyć broń. Co za gorzka myśl! Trzeba było opuścić naszych braci z Kraju Przylądkowego i z Natalu, którzy złożyli swój los w nasze ręce. Ta straszna myśl kosztowała mnie tyle nocy bezsennych.

Ale nie mogliśmy inaczej postąpić, trzeba było zgodzić się na warunki pokoju, proponowane przez Anglię. Teraz, kiedy wszystko już skończone, można mieć nadzieję, że rządy kraju Przylądkowego i Natalu, zachowane przez rząd angielski, zro-

zumieją konieczność przebaczenia i ogłoszenia amnestyi.

Nie jest bezpodstawna nadzieja takiego postąpienia rządu, bo przecież tylko głos krwi popchnął Afrykandrów do buntu, a niema na świecie silniejszego węzła, jak jedność rasy—o tem rządy obu kolonij nie powinny zapominać. Kto szczerze pragnie pomyślności Afryki Południowej, musi koniecznie prowadzić tam politykę pojednania.

Wieczorem 31 maja 1902 r. członkowie obu rządów przybyli do Pretoryi i udali się bezzwłocznie do lorda Kitchenera.

Lord Kitchener i lord Milner byli obecni.

Traktat pokoju był już przygotowany. Propozycja, przyjęta przez reprezententów obu Rzeczypospolitych, została podpisana.

Był to pamiętny wieczór. Jaki przewrót dokonał się w ciągu kilku minut! Na mapie Afryki, w tych rozległych krańcach, gdzie niegdyś nasi przodkowie, waleczni wychodźcy holenderscy znaleźli nową ojczyznę, pozostały teraz tylko dwie kolonie angielskie.

Nie można już było odtąd zmienić tego, co się stało. Postanowienie powzięte na zgromadzeniu, może zostać odrzucone, ale dokument, podpisany przez obie strony, jak ten, któryśmy podpisali przed chwilą, był nieodwołalny. Każdy z nas podpisywał pod bolesnym przymusem. Ale co nam było najboleśniejsze, to podpisywać własną ręką postanowienie, którem uwiadamlaliśmy Boerów, że postradali wolność.

Dnia 2 czerwca 1902 r., delegaci opuścili Vereeniging, powrócili do swoich okręgów, gdzie tym, którzy jeszcze mieli nadzieję, nieśli smutną wieść o utracie niepodległości i musieli ich przy-

gotować do złożenia broni w czasie i miejscu oznaczonym.

Dnia 3 marca wyjechałem z Pretoryi z generałem Elliotem dla odbioru w rozmaitych miejscach broni burgerów, 5 czerwca pierwszy oddział złożył broń pod Vredefortem. Była to nie dająca się opisać chwila dla mnie i dla każdego burgera, kiedy trzeba było spełnić ten czyn ostatecznego poświęcenia.

Kochany czytelniku, pozwól zatrzymać się na chwilę człowiekowi, który cierpi, opisując bolesne czasy, jakie przeżył. Pozwól mi wywnętrzyć się przed tobą. Widziałem na łożu śmierci tych, którzy mi byli drodzy: ojca, matkę, braci, przyjaciół; ale nie odczułem nigdy tak strasznego bólu, jak wtedy, gdy patrzyłem na utratę niepodległości mojego kraju!

Dnia 7 czerwca przybyłem do Reitz, gdzie oddziały z Vrede, Harrismithu, Heilbronu i Betleemu złożyły broń. Ale nie mogłem już dłużej na to patrzeć. Trzy lata trzymałem się na Veldzie bez słowa skargi, znosząc wszystko dla miłości ojczyzny; ale patrzeć na to, jak składają broń te same ręce, które tak dzielnie jej umiały używać — to było nad moje siły! Byłbym płakał jak dziecko.

Postanowiłem więc w dalszym ciągu objaśnić położenie burgerom innych oddziałów, tłumacząc im, dla czego trzeba się zgodzić na warunki pokoju, choć tak dzielnie sprawiali się w naszym kraju.

Zapanowało wszędzie niewysłowione przygnębienie aż do 16 czerwca, gdy ostatni z walczących, burgerzy generałów Branda i Nieuwoudta złożyli broń.

Wszystko się skończyło, zostaliśmy angielskimi poddanymi.

Ale nie złożę pióra, dopóki nie prześlę dawnym poddanym orańskim ostatniego słowa pożegnania. Mówię—ostatniego słowa—bo teraz, gdy

spełnił do końca obowiązek, powrócę do dawnego trybu życia rolnika, którego byłbym wolał nie poznać nigdy.

Burgerzy Państwa Orańskiego! Zawarliśmy przy mierze, bądźcie lojalni i szanujcie zobowiązania. Ale nadewszystko nie traćcie nadziei, a kiedy wam zanadto będzie ciężyc myśl o utraconej wolności, pocieszajcie się wspomnieniem dni minionych, tej walki, którą przez trzy lata prowadziliście po bohatersku i przez którą dowiedzieliście żywotności waszej rasy, wartości waszej energii, waszego prawa wreszcie do tego, żeby was uważano—jeżeli nie jako naród—to przynajmniej jako ludzi, których nazwiska i męstwo pozostaną zawsze na kartach historii.

54284



Krychawski →

9143

ABW
Inst. do spraw

Handwritten red scribbles and lines, including a large '2' and '3'.

WOLSKO POLSKIE
Spółka Górnictwa i Hutnictwa
Wieliczka
1.1.1. ✓

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

2826